

WIKTOR HUGO

HAN Z ISLANDYI

· POWIEŚĆ HISTORYCZNA

~~~~~  
**TOM DRUGI**  
~~~~~

BIESIADA LITERACKA

HAN Z ISLANDYI

WIKTOR HUGO

HAN Z ISLANDYI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

~~~~~  
**TOM DRUGI**  
~~~~~

BIESIADA LITERACKA.



173535/
2

W drukarni Synów St. Niemiry, Warszawa, plac Warecki 4.

K-226/86 | 173536

I

Witaj, Hugonie; powiedz mi, czy
widziałeś kiedy tak straszliwą burzę?
Maturin „Bertram“.

W jakiż sposób spełniono te okro-
pne zbrodnie?

Shakspeare „Romeo i Julia“.

W jednej z sal, przyległych do apartamentu gu-
bernatora w Drontheim, trzech sekretarzy jego ekscel-
encyi zasiadło około wielkiego stołu, zarzuconego per-
gaminami, papierami, pieczęciami i kałamarzami. Sto-
jący przy stole czwarty taboret wymownie świadczył
o opóźnieniu się jednego jeszcze z urzędników. Od pe-
wnego czasu byli już zajęci rozmyśleniem lub pracą,
kiedy nagle jeden z nich zawołał:

— Czy wiesz, Wapherney, że wiele z decyzji
jego ekscelencyi, o których mi mówiłeś, zostało zmie-
nionych? Tak na przykład, na prośbie górników, generał
napisał własnoręcznie: *negetur*...

— Czy podobna! Wcale zresztą tego nie pojmuję.
Generał przecież obawiał się niespokojnego ducha tych
górników.

— Chce ich może zastraszyć surowością, w co
chętnie wierzę, prośba bowiem kapelana Mundera, co
do ułaskawienia dwunastu skazanych, również została
odrzuconą...

Sekretarz, którego Wapherneyem nazywano, nagle powstał.

— W to już nigdy nie uwierzę, Ryszardzie — rzekł. — Gubernator jest tak dobry i zbyt wiele okazywał litości dla skazanych, ażeby...

— Czytaj więc sam, skoro nie wierzysz.

Wątpiący wziął do ręki prośbę, na której znalazł fatalny znak odmowy.

— Doprawdy — rzekł — że ledwie oczom swoim wierzyć mogę. Prośbę tę jeszcze raz przedstawię jenerałowi. Kiedy jego ekscelencya przeglądał te papiery?

— Zdaje mi się, że ze trzy dni temu.

— Było to — odparł Ryszard zeicha — owego poranku, kiedy baron Ordener zjawił się na tak krótko i znikł tak tajemniczo.

— Patrzajcie no — zawołał znowu Wapherney — na śmiesznem podaniu tego Benignusa Spiagudry napisano: *tribunatur...*

Ryszard parsknął śmiechem.

— Wszak to ten dozorca trupów, Arturze, co zniknął tak szczególnym sposobem?

— Tak jest — odparł Artur — w jego trupiarni znaleziono pokaleczzonego jednego z umarłych, wskutek czego sprawiedliwość ściga go jako świętokradcę. Pozostały jednak w Spladgeście sługa dozorca, mały Laponczyk, utrzymuje, a z nim i cały lud, iż go dyabeł porwał jako czarnoksiężnika.

— Otóż to osobistość — zawołał Wapherney ze śmiechem — pozostawiająca po sobie piękną reputację.

Zaledwie umilkł, kiedy wszedł czwarty sekretarz.

— Na honor, Gustawie, strasznie późno dzisiaj przychodzisz. Czyś się przypadkiem wczoraj nie ożenił?

— Ale gdzie tam! — przerwał Wapherney — on tylko wybrał najdłuższą drogę, ażeby przejść pod oknami zachwycającej Rosily.

— Dobrzeby było, gdybyś odgadł, Wapherney — rzekł nowoprzybyły. — Opóźnienie bowiem moje nie pochodzi z tak przyjemnej przyczyny i wątpię, czy nowy mój płaszcz zrobił jakie wrażenie na osobach, które odwiedziłem.

— Skąd idziesz? — zapytał Artur.

— Ze Spladgestu.

— Bóg mi świadkiem — zawołał Wapherney upuszczając pióro — żeśmy dopiero co o Spladgeście mówili. Jeżeli wszakże mówi się o tem dla spędzenia czasu, to jednak nie pojmuję, jak można tam chodzić. A jeszcze bardziej zwiedzać ten dom nieboszczyków. Ale cożeś tam widział, Gustawie?

— Tak, tak — odrzekł Gustaw — skoro nie możecie widzieć, to radziłyście, abym wam opowiedział przynajmniej; a srogo bylibyście ukarani, gdybym odmówił opisanie wam okropności, których widok dreszczemby was przejął napewno.

Słyszając to, trzech sekretarzy zaczęli znaglać Gustawa do opowiadania, ten zaś kazał się trochę prosić, chociaż z pewnością zarówno pragnął opisać to, co widział, jak oni życzyli sobie usłyszeć.

— Będziesz mógł, Wapherney, opowiadanie moje powtórzyć swej młodej siostrze, która tak lubi straszne historie. Wepchnięty zostałem do Spladgestu przez tłoczącą się masę ludu. Przyniesiono tam właśnie

trupy trzech żołnierzy z munccholmskiego pułku i dwóch łuczników, znalezionych wczoraj na dnie przepaści w Cascadthymore. Niektórzy z obecnych utrzymywali, że nieszczęśliwi ci składali oddział, wysłany przed trzema dniami, w kierunku Skongen, dla ścigania zbiegłego dozorey Spladgestu. Jeśli to prawda, to w takim razie trudno jest pojąć, jakim sposobem tylu uzbrojonych ludzi dało się zamordować. Rany na ich ciałach wskazują, że musieli być zrzućeni w przepaść z wierzchołków skał. To aż włosy stają na głowie.

— Jak to, Gustawie, widziałeś ich? — zapytał żywo Wapherney.

— Mam ich jeszcze przed oczyma.

— A jakże się domyślają, kto jest sprawcą tej zbrodni?

— Niektórzy sądzą, że to banda górników i zapewniają, że wczoraj słyszano w górach głosy rogów, którymi oni zwykle się zwołują.

— Czy to być może? — spytał Artur.

— Tak jest; jednakowoż jakiś stary włościanin zbił to przypuszczenie uwagą, że w stronie Cascadthymore niema ani kopalń, ani górników.

— Któżby więc tego się dopuścił?

— Nie wiadomo; gdyby wszakże ciała te nie były całe, to możnaby przypuścić, że to sprawa drapieżnych zwierząt, albowiem mają na sobie długie i głębokie szramy, jak gdyby szponami zadane. Toż samo daje się widzieć na trupie siwobrodego starca, przyniesionym do Spladgestu przedwczoraj, po tej okropnej burzy, jaka przed trzema dniami szalała.

— A któż jest ten starzec, Gustawie?

— Z wysokiego wzrostu, długiej białej brody i szkaplerza, który dotychczas jeszcze trzyma silnie w rękę, chociaż znaleziono go zupełnie obdartym, poznano w nim jakiegoś pustelnika z okolicy; zdaje mi się, że nazywają go pustelnikiem z Lynrass. Niema żadnej wątpliwości, że biedny ten człowiek również został zamordowany: ale w jakim celu? Teraz przecie nie zabijają dla przekonań religijnych, stary zaś pustelnik nie miał nic, oprócz habitu z grubego sukna i przychylności ogólnej.

— Powiadasz więc — spytał Ryszard — że ciało jego, równie jak i żołnierzy, podrapane jest jak gdyby pazurami dzikiego zwierza?

— Tak jest, mój drogi; a jakiś rybak utrzymywał, że podobne znaki widział na ciele oficera, zamordowanego i znalezionego przed kilku dniami na płaszczynach pod Urehtal.

— To szczególnie! — rzekł Artur.

— To przerażające! — odparł Ryszard.

— Dosyć już tego, a teraz do pracy — rzekł Wapherney — bo zdaje mi się, że generał wkrótce tu nadejdzie. Wiesz, Gustawie, że bardzo jestem ciekawy widzieć te ciała; jeśli chcesz, to wieczorem, wychodząc stąd, wstąpimy na chwilę do Spladgestu.

II

Ta nawet, która go nosiła w swym łonie... matka własna, cofała się na jego widok i nie poznawała dziwnego oblicza swego syna.

Maturin „Bertram“.

Ona tak łatwo mogła być szczęśliwa! Skromna chatka w dolinie między Alpami i zajęcia domowe zaspokołyby jej umiarkowane pragnienia i zapełniły jej ciche życie; ale ja, nienawistny Bogu, nie miałem spokoju, dopóki nie złamałem jej serca, póki nie rozrzuciłem w gruzy jej przyszłości... Ona musi zostać łupem i zdobyczą piekła.

Goethe „Faust“.

W roku 1675, to jest na dwadzieścia cztery lata przed wyżej opowiedzianymi przez nas wypadkami, nadszedł dzień będący uroczystością dla całej wsi Thoctre. Był to dzień zaślubin pełnej wdzięku Lucy Pelnyrh z pięknym Karolem Stadt, młodym zuchem przez wszystkich lubionym. Mówiąc prawdę, kochali się oni oddawna; jakżeby więc wszystkie serca nie zajmowały się kochankami w dniu, w którym tyle gorących życzeń i niepewnych nadziei miało nakoniec zamienić się dla nich w prawdziwe szczęście! Urodzeni

w jednej i tej samej wiosce, wychowani na tych samych polach, gdy byli dziećmi jeszcze, Karol często-kroć po zabawie zasypiał oparty na kolanach Lucy; w młodzieńczym wieku, Lucy, znużona pracą, zasypiała wsparta na ramieniu Karola. Lucy była najskromniejszą i najładniejszą z dziewcząt całej wioski; Karol najodważniejszym i najszlachetniejszym z młodych ludzi w kantonie. Kochali się i zarówno nie mogliby sobie przypomnieć dnia, kiedy ich miłość powstała, jak i dnia, kiedy żyć zaczęli.

Małżeństwo jednak nie przyszło im tak łatwo, jak miłość. Były tam różne interesa domowe, nienawiść familijna, krewni i inne przeszkody; rok cały byli rozłączeni; Karol wiele przecierpiał zdaleka od swej Lucy, a Lucy wiele wylała łez w oddaleniu od swego Karola, zanim nastąpił szczęśliwy dzień, który ich połączył, aby odtąd wspólnie cierpieć i zapłakać mogli.

Jedynie ocalając Lucy od wielkiego niebezpieczeństwa, Karol rękę jej otrzymał. Pewnego dnia usłyszał on krzyki w sąsiednim lesie; był to głos jego Lucy, którą napadł i chciał porwać rozbójnik, rzucający postrach na całą okolicę. Karol uderzył śmiało na tego potwora o ludzkiej twarzy, któremu z powodu szczególnego i zwierzęcego ryku, jaki czasem z piersi jego się dobywał, nadano imię Hana. Tak jest, uderzył na potwora, którego nikt nie śmiał zaczepić, lecz miłość natchnęła go lwią siłą. Oswobodził więc swoją Lucy, odprowadził do ojca, a ten dał mu ją w nagrodę.

Dlatego też w dzień połączenia dwojga tych narzeczonych, wieś cała cieszyła się ich szczęściem. Lucy

tylko zdawała się być smutną. Nigdy wszelako nie zwracała czulszych spojrzeń na swego ukochanego Karola; spojrzenia te jednak równie były posępne, jak i czule, a pośród ogólnej wesołości, wszystkich to dziwiło. Z każdą chwilą, im bardziej zdawało się wzrastać szczęście narzeczonego, tem więcej oczy jej wyrażały cierpienia i miłości.

— O moja Lucy — rzekł do niej Karol po odbyciu świętego obrządku — tak więc pobyt w okolicy tego rozbójnika, stanowiący dla innych prawdziwą klęskę, dla mnie jest powodem największego szczęścia!

Wszyscy zauważyli, że ona kiwnęła głową i nie odpowiedziała ani słowa.

Nadszedł wieczór: pozostawiono ich przeto samych w nowej ich chatce, a tańce i zabawy rozpoczęły się na dobre na otwartem powietrzu, dla uczczenia szczęścia nowo zaślubionych.

Nazajutrz rano, Karol Stadt znikł ze wsi, a wkrótce kilka słów skreślonych jego ręką oddał ojcu Lucy Pelnryh jakiś strzelec z góry Kole, który nowo zaślubionego spotkał przed świtem, na brzegach zatoki.

Tajemniczy ten wypadek pogrążył w smutku całą wioskę i napróżno starano go sobie wytłumaczyć. Odprawiono nabożeństwo w tym samym kościele, w którym kilka dni przedtem on sam śpiewał dziękczynne pieśni za otrzymane szczęście. Nie wiadomo co utrzymało przy życiu wdowę Stadt. Po dziewięciu miesiącach samotności i żałoby, wydała ona na świat syna, a w tymże samym dniu, wioska Golyn zavalona została przez oderwanie wznoszącej się po nad nią skały.

Przyjście na świat syna nie rozproszyło ponurego smutku jego matki. Gill Stadt w niczem nie zdawał się być podobnym do Karola. Jego dzikość w dziecięcym wieku pozwałała wróżyć, że jego życie jeszcze dzikszem będzie. Niekiedy jakiś mały człowiek (w którym widzący go z daleka górale poznawali słynnego Hana z Islandyi) przychodził do opustoszałej chatki wdowy po Karolu, a wtedy przechodnie słyszeli rozlegające się jęki kobiece i ryk tygrysa. Ów człowiek uprowadzał małego i dopiero po upływie całych miesięcy oddawał go matce, jeszcze bardziej posępnym i przerażającym.

Wdowa Stadt czuła do tego dziecka przywiązanie, ale i wstręt zarazem. Niekiedy przyciskała je do swego macierzyńskiego łona, jako jedyne dobro, wiążące ją z życiem; później znowu odpychała od siebie, przywołując swego ukochanego Karola. Nikt na świecie nie mógł odgadnąć, co się działo w jej sercu.

Gill doszedł do dwudziestu trzech lat życia; poznał Guth Stersen i pokochał ją szalenie. Guth była bogatą, on zaś był biednym. Udał się więc do Roeraas, aby zostać górnikiem i zarobić trochę złota. Odtąd matka nie miała już o nim żadnych wiadomości.

Pewnej nocy, siedząc przed kołowrotkiem, który stanowił jej utrzymanie, czuwała przy gasnącej lampie w chacie swej, wśród postarzałych w samotności i żałobie murów, niemych świadków tajemniczej nocy jej wesela. Niespokojna myślała o swoim synu, którego upragniona obecność mogła jednak tak wiele jej przypomnieć i tyle sprawić boleści. Biedna matka kochała swego syna, choć on jej się wcale nie wywzajemniał.

I jakże go kochać nie miała, kiedy tyle dla niego cierpień przeniosła?

Wstała, aby wziąć z głębi starej szafy krucyfiks zardzewiały i kurzem okryty. Popatrzała na niego błagalnym wzrokiem, a później rzucając go z przestachem, zawołała:

— Modlić się! Czyż ja mogę się modlić?... O tak, nieszczęśliwa! Modlitwę swoją tylko do piekła zasyłać możesz, bo do piekła należysz.

Upadła na ławę w pośpennym marzeniu, kiedy nagle do drzwi zapukano.

Rzadki to był wypadek u wdowy Stadt; od wielu lat bowiem, wskutek niezwykłych przygód w jej życiu, cała wieś Thoctre sądziła, że kobieta ta ma stosunki z piekielnymi duchami. Nikt przeto nie zbliżał się do jej chaty. Dziwną zaprawdę była zabobonność owego wieku i kraju, pogrążonego jeszcze w ciemności! Zyskała ona przez nieszczęście tę samą opinię, jaką dozorca Spladgestu zjednał sobie przez naukę.

— Gdyby to był mój syn! gdyby to był Gill! — zawołała i rzuciła się ku drzwiom.

Niestety! to nie był jej syn. Gdy drzwi otworzyła, stanął przed nią pustelnik niskiego wzrostu, ubrany w habit, którego opuszczony kaptur pozwalał widzieć tylko czarną brodę.

— Czego żądacie, świętobliwy ojece? — rzekła wdowa. — Nie wiecie zapewne, do jakiego przyszlście domu.

— Wiem to dobrze — odparł pustelnik głosem chrapliwym i aż nazbyt dla niej znanym. A zrzucając rękawice, czarną brodę i kaptur, pokazał twarz okrutną, ryżą brodę i ręce uzbrojone w ohydne pazury.

— O Boże! — zawołała wdowa i twarz swą w dłoniach ukryła.

— Cóż to? — rzekł mały człowiek — czyż po dwudziestu czterech latach nie przywykłaś jeszcze do widoku twego małżonka, na którego całą wieczność patrzeć musisz?

— Całą wieczność! — wyszeptała z przestachem.

— Słuchaj, Lucy Pelnyrh, przynoszę ci nowiny o twoim synu.

— Moim synu! Gdzież on jest? dlaczego tu nie przychodzi?...

— Bo przyjść nie może.

— Panie... powiedz mi — mówiła dalej — gdzie on jest? Niestety i ty więc możesz szczęście mi przynosić!

— W samej rzeczy szczęśliwą przynoszę ci nowinę — rzekł mały człowiek głucho — ty bowiem słabą jesteś kobietą i dziwię się, żeś mogła urodzić takiego jak on syna. Pociesz się więc; obawiałaś się, aby syn twój nie poszedł moim śladem: teraz nie lękaj się już niczego.

— Jak to! — zawołała matka z uniesieniem — mój syn, mój ukochany Gill, tak bardzo się odmienił?

Pustelnik patrzył na jej radość z ponurym uśmiechem.

— O tak! bardzo się odmienił — rzekł nareszcie.

— Dlaczegoż więc nie biegnie w moje objęcia? Gdzieś go widział? Co on robił?

— Spał.

Nieszczęśliwa wdowa, w uniesieniu radości, nie widziała ani złowieszczego spojrzenia, ani szyderczego uśmiechu małego człowieka.

— Dlaczegoż go nie obudził, nie powiedział mu: Gillu, pójdz do twojej matki?!

— Jego sen był bardzo głęboki.

— Kiedyż więc przyjdzie? Powiedz mi, błagam cię, czy ja go prędko zobaczę?

Fałszywy pustelnik dobył z pod swej sukni czarę szczególnego kształtu.

— A więc, wdowo, pij za prędki powrót twego syna.

Wdowa krzyknęła z przerażenia: owa czara, to była czaszka ludzka. Gestem tylko okazała strach swój, nie mogąc wymówić ani słowa.

— Nie odwracaj swych oczu, kobieto! — zawołał nagle mały człowiek straszliwym głosem. — Cheesz widzieć twójego syna?... Patrz więc, mówię ci—patrz! bo oto wszystko, co się po nim zostało!

I przy czerwonaśmiewie światła gasnącej lampy, przysunął do bladych ust matki nagą i wyschlą czaszkę jej syna.

Zawiele ta nieszczęśliwa kobieta przeniosła cierpień, aby jedno więcej nieszczęście złamać ją mogło. Utkwiła więc w dzikiego pustelnika spojrzenie nieruchome i bezmyślne.

— Śmierć — wyszeptwała słabo — śmierć! O, pozwól mi umrzeć!

— Umieraj, jeśli tego pragniesz!... ale pamiętaj, Lucy Pelnyrh, o lesie Thoctre; nie zapomnij o dniu,

w którym szatan, posiadłszy ciało, duszę twą oddał na własność piekła. Teraz, jeśli chcesz, umieraj.

W zabobonnym owym kraju wierzono ogólnie, że duchy piekielne zjawiają się niekiedy między ludźmi i pędzą życie pełne zbrodni i ohydy; w liczbie innych słynnych zbrodniarzy, Han z Islandyi zjednał sobie tak straszną opinię. Wierzono również, że kobieta stająca się, wskutek uwiedzenia, albo gwałtu, łupem któregośkolwiek z tych szatanów w ludzkiej postaci, musi być nieodwołalnie towarzyszką jego potępienia.

Zdarzenie, o którym pustelnik wspomniał wdowie, zdawało się w niej te myśli obudzać.

— Niestety! — rzekła z boleścią — nie mogę więc pożegnać się z życiem!.. A cóżem zawiniła? Bo ty wiesz przecie, ukochany mój Karolu, że jestem niewiną. Ręka młodej dziewczyny niema tej siły, co ramię szatana.

Mówiła dalej, a spojrzenie jej przybrało wyraz obłąkania; słowa dziwne, bez związku, zrywały się z jej drżących warg.

— O tak, Karolu, od owego dnia jestem skalana, lecz niewinna. A szatan pyta mnie — czy pamiętam ten straszliwy dzień! Karolu mój, nie zwiodłam cię! Ale przyszedłeś zapóźno; należałam wpierw do niego, zanim twoją zostałam. Biada mi! będę potępioną na wieki. O! tak, nigdy się już nie połączę z tobą, którego tak opłakuję. Po cóż więc mam umierać? Pójdę z tym potworem w świat do niego podobny, w świat potępieńców! Cóż więc zawiniłam? Nieszczęścia mojego życia w wieczności za zbrodnie poczytane mi będą!

Han z Islandyi. Tom II.



Mały pustelnik patrzył na nią tryumfującym wzrokiem.

— Ach! — zawołała, nagle zwracając się do niego — powiedz mi, może to tylko sen okropny, twoja obecność mi przynosi? O, bo wiesz, niestety, że od dnia, kiedy mnie zgubiłeś, wszystkie przekłete noce, w których duch twój mnie odwiedzał, pamiętne mi są ze zjawisk ohydnych, przerażających snów i groźnych widziadeł.

— Kobieto, kobieto, przyjdź do rozumu! Taką samą prawdą jest to, że nie śnisz, jak i to, że syn twój nie żyje.

Wspomnienie minionych cierpień zatarło niejako w sercu matki boleść nowego nieszczęścia: słowa te przypomniwały cios, jaki ją dotknął przed chwilą.

— O mój synu, mój synu! — wołała, a dźwięk jej głosu wzruszyłby każdego, oprócz złośliwej istoty, która ją słuchała. — O tak — mówiła — on powróci; mój syn żyje jeszcze, ja nie mogę wierzyć, żeby on już umarł.

— A więc zapytaj się skał w Roeraas, które go zgruchotały, zapytaj zatoki Drontheimskiej, której fale za grób mu służą.

Nieszczęśliwa matka padła na kolana i zawołała z wysileniem:

— Boże, mój Boże!

— Milez, niewolnico piekła!

Umilkła. On zaś mówił dalej:

— Nie powątpiewaj o śmierci twego syna. On tem właśnie został ukarany, w czym jego ojciec słabość okazał. Jego granitowe serce zmiękczyło spojrzenie kobiety. Ja posiadałem cię wprawdzie, ale cię nigdy

nie kochałem. Nieszczęście twojego Karola na jego spadło głowę. Syn mój i twój zarazem zdradzony został przez swą narzeczoną, przez tę, dla której umarł.

— Umarł! — powtórzyła — umarł! A więc to prawda! O Gillu mój, zrodziłeś się z nieszczęścia mojego; poczęty w przerażeniu i trwodze, przyszedłeś na świat wśród żałoby; usta twoje kaleczyły moje łono; pieczętował nie odpłaciłeś nigdy pieczętami, uścisków pocałunkiem; uciekałeś zawsze i odpychałeś swą matkę, samotną i opuszczoną wśród bolesnego żywota! Starałeś się, abym zapomniała, o przeżytych cierpieniach, jedynie będąc powodem nowych dla mnie boleści; opuszczałeś mnie dla szatana, sprawcy dni twoich i mojego wdowienstwa, a nigdy, Gillu, w ciągu długich lat, nie przyniosłeś mi żadnej pociechy; dziś jednak twoja śmierć, mój synu, zdaje mi się najdotkliwszem z moich cierpień, dziś wspomnienie o tobie wydaje mi się wspomnieniem szczęścia i pociechy...

— Słaba kobieto! — rzekł z cicha pustelnik, a po chwili mówił dalej silniejszym głosem: — Pokonaj swą boleść, Lucy Pelnyrh, ja żartowałem sobie z mojej. Słuchaj, podczas gdy ty oplakujesz jeszcze twojego syna, ja już mścić się za niego zacząłem. Jego narzeczoną zdradziła go dla żołnierza z garnizonu munckholmskiego — cały przeto pułk zginie z moich rąk. Patrz, Lucy Pelnyrh.

I odwinąwszy rękawy sukni, pokazał swe potworne ręce całe w krwi zbroczone.

— Tak — zawołał, wydając głos do ryku podobny — dzisiaj po płaszczyznach Urechtału i w wąwozach Cascadithymore, duch Gilla przechadza się zapewne z ra-

dością. Cóż to kobieto, czy nie widzisz krwi? Pociesz się więc...

Później, jakby sobie coś przypomniawszy — zawołał nagle;

— Czy nie oddano ci ode mnie żelaznej szkatułki? Jak to! Przysłałem ci złota i przynoszę krew, a ty płaczesz jeszcze! Chyba nie należysz do rodzaju ludzkiego?!

Wdowa, pogrążona w rozpacz, milczała.

— No, no! — rzekł śmiejąc się dziko — milcząca i niewzruszona! Ty widać i kobietą nie jesteś! Lucy Pelnyrh! — i wstrząsnął jej ramieniem, aby go słuchała — czy posłaniec nie przyniósł ci opieczętowanej szkatuły?

Wdowa wstrząsnęła przecząco głową i pograżyła się na nowo w ponurem marzeniu.

— A! nędznik! — zawołał mały człowiek — niewierczy nędznik! Spiagudry, to złoto drogo kosztować cię będzie!

I zrzućwszy z siebie suknię pustelnika, wybiegł z chaty z wyciem hyeny szukającej trupa.

III

Panie, czeszę swoje włosy i płaczę,
bo zostawiasz mnie samą i udajesz
się w góry.

Romans.

Ethel naliczyła już cztery długie i jednostajne dni od czasu, jak błakała się samotna w posepnym ogrodzie szlezwiskiej wieży, jak modliła się w kaplicy, co tylu łez i tajemnych jej zwierzeń była świadkiem; od czasu, jak samotnie przechadzała się po korytarzu, w którym raz jeden nie sama już słyszała bijącą północ. Stary ojciec towarzyszył jej niekiedy, niemniej jednak czuła się samotną, nie było bowiem przy niej prawdziwego towarzysza jej życia.

Nieszczęśliwa dziewczica! Czemże zawiniło to dziecię młode i czyste, aby już doznać tylu boleści? Porwana ze świata od zaszczytów, bogactw, uciech młodości, tryumfów swej urody, była jeszcze w kolebce, gdy się za nią zawarły żelazne wrota ponurego lochu. Uwięziona wraz ze swoim ojcem, rosła patrząc na jego przygnębienie; a jak gdyby dla uwięczenia jej cierpień, jakby dlatego, żeby żadna niewola obca jej nie była, miłość zawitała do niej aż w mury więzienia.

Gdyby zresztą swego Ordenera mogła mieć przy sobie, cóżby dla niej wolność znaczyła? Czy wie-

działa nawet, że istnieje świat, od którego ją odłączyono? A zresztą, jej świat, jej niebo, nie byłoby wówczas z nią razem w tej wieży, wśród tych czarnych murów rojących od żołactwa, na które jednak przechodzący rzucaliby spojrzenia litości.

Ordener po raz drugi odjechał i zamiast przeżywać przy jego boku godziny, któreby mijały jak chwile ciągle się odradzające, w słodkich pieszczotach i niewinnych uściskach, dziś spędza dni i noce płacząc nad jego nieobecnością i modląc się, aby uniknął bowiem niebezpieczeństw. Dziewica ma tylko modlitwę i łzy.

Niekiedy zazdrościła skrzydełek swobodnej jaśkółce, co przylatywała do niej po okruszyny aż do krat jej więzienia. Czasami znowu myśl jej unosiła się na chmurze, pędzonej wiatrem ku północy; potem nagle odwracała głowę, zakrywała oczy, jakby obawiając się ujrzeć olbrzymiego zbójcę i rozpoczynając się nierówną walkę na jednej z dalekich gór, której siny wierzchołek wznosił się na horyzoncie jakby nieruchoma chmura.

O! jakże boleśnie jest kochać, czując się daleko od przedmiotu swej miłości! Niewiele serc doznało tej boleści w całym jej znaczeniu, niewiele bowiem poznało miłość bez granic. Wówczas zapomina się niejako o swej własnej istocie, tworzy się dla siebie pęsepną samotność, olbrzymią próżnię, a dla nieobecnej istoty jakiś świat straszny i niebezpieczny, zapęnlony potworami i zdradą; rozliczne władze duszy rozpraszają się i giną w nieskończonej tęsknocie za uko-

chaną istotą; wszystko, co nas otacza, martwym jest zupełnie. Jednakże oddycha się, działa, chodzi, ale wszystko to bez myśli. „Jak zbłąkana planeta, która utraciła swoje słońce; ciało porusza się bezmyślnie: dusza jest gdzieindziej.

IV

Wodzowie bez serca, z jednością za-
[ciekłą
I z klątwą tak straszną, że aż burzy
[piekło,
Zabitego buhaja otoczyli zgrają
I dłoń we krwi brocząc, zemstę przy-
[siągają.

„Siedmiu wodzów pod murami Teb.“

Wybrzeża Norwegii obfitują w wąskie zatoki, niewielkie porty, błotniste jeziora i w przylądku tak liczne, że nużą pamięć podróżnika i cierpliwość topografa. Dawniej, według podań ludowych, każde międzymorze nawiedzane było przez dyabła, każdy przylądek miał świętego, co się nim opiekował; zabobonność bowiem dopuszcza wszystko dla wytworzenia przerażających widziadeł. Na płaszczyźnie Kelvel, o kilka mil od grotty Walderhoga, znajdowało się miejsce, które, jak mówiono, miało być wolne od wszelkiej władzy duchów piekielnych. Była to nadbrzeżna łączka, dotykająca skały, ze szczytu której można było widzieć szczątki ruin zamku Ralpa, albo Radulpha-Olbrzyna. Dzika ta łączka, granicząca od zachodu z morzem i otoczona skałami pełnymi krzaków, szczególnie swój przywilej zawdzięczała imieniu pierw-

szego posiadacza, feudalnego władcy Norwegii. Jakaż bowiem wieszczka, jakiż szatan albo anioł ośmieliłby się objąć w posiadanie lub opiekę ziemię, należącą niegdyś do Ralpa Olbrzyna?

Co prawda jednak, imię strasznego Ralpa do statecznem było, aby nadać przerażający charakter owemu miejscu, już i tak dzikiemu z natury. Ale bądź co bądź, wspomnienie nie może być tak groźnem, jak zły duch; nigdy przeto rybak, opóźniający się wskutek burzy, zarzucając kotwicę swojej barki w przystani Ralpa, nie widział maryl, śmiejącej się i tańczącej pomiędzy duchami na wierzchołku skały, ani też wieszczki, przebiegającej po nad krzakami na fosforycznym wozie, ciągnionym przez święące robaczki, ani nakoniec nie ujrzał świętego, któryby po odbyciu modłów, unosił się na księżyc.

Gdyby wszakże w nocy, która nastąpiła po wielkiej burzy, rozhukane bałwany morskie i gwałtowny wiatr pozwoliły jakiemu zbłąkanemu marynarzowi przybić do lądu w tej niegościnniej przystani, wtedy doznałby zapewne zabobonnego strachu na widok trzech ludzi, siedzących około wielkiego ognia, płonącego pośrodku łąki. Dwóch z nich miało na sobie ogromne pilśniowe kapelusze i szerokie spodnie górników królewskich. Ręce ich były gołe aż do ramion, nogi obute w trzewiki z niewyprawnej skóry, u szerokich ich pasów wisiały zakrzywione szable i wielkie pistolety. Obaj mieli zawieszone u szyi rogi. Jeden z nich był stary, drugi bardzo młody, a gęsta broda starca i długie włosy młodzieńca nadawały dziki wyraz ich rysom i tak już ostrym i surowym.

Z niedźwiedziej czapki, skózanego kaftana, muszkietu, zawieszonego na plecach, ze spodni krótkich i obcisłych, gołych kolan, drewnianych sandałów i z błyszczącej siekiery, którą trzymał w ręku, z łatwością można było poznać w towarzystwie górników górala z północnej części Norwegii.

Niema wątpliwości, że spostrzegający zdaleka te trzy szczególne postacie, na które płomień ogniska, poruszany powiewem morskiego wiatru, rzucał światło czerwone i niepewne, miałby zupełne prawo przestraszyć się, choćby nawet nie wierzył w widma i duchy; dostatecznym było, aby uwierzył w złodziei i był nieco bogatszym niż każdy poeta.

Trzej ci ludzie zwracali często głowy ku ścieżce, ginącej w lesie stykającym się z łąką Ralpha, a ze słów ich, których wiatr nie zagłuszał, widocznym było, że czekali na kogoś czwartego.

— Nieprawdaż, Kennybol — rzekł jeden z nich — że o tej porze nie czekali byśmy tak spokojnie na posłańca hrabiego Griffenfelda na sąsiedniej łące: na łące kusiciela Tulbytilbeta, albo też tam, na wybrzeżu Świętego Cuthberta?...

— Nie mówcie tak głośno, Jonaszu — odpowiedział góral staremu górnikowi — niech będzie błogosławiony Ralph-Olbrzym, który się nami opiekuje, a niebo niechaj mnie uchowa, abym miał kiedy stąpić nogą na łąkę Tulbytilbeta.

— Zawsze wolałbym pójść tam — odparł Jonasz — aniżeli do groty Walderhoga, gdzie głowy ludzi, zamordowanych przez Hana, szatana z Islandyi, przy-

chodzą co noc i tańcząc około jego łoża, usłanego z liści, usypiają go szczękając zębami.

— To prawda — rzekł góral.

— Ależ — odparł młody górnik — przecie pan Hacket, na którego czekamy, przyrzekł, że Han z Islandyi stanie na czele naszego powstania?

— Obiecał nam to rzeczywiście — odpowiedział Kennybol — a przy pomocy tego szatana, możemy być pewni zwycięstwa nad wszystkimi zielonemi kaftanami z Drontheimu i Kopenhagi.

— Tem lepiej — rzekł stary górnik — ja jednak nie podejmuję się stać w nocy blisko niego na straży...

W tej chwili chrzęst uschłych gałęzi pod krokami ludzkimi ściagnął na siebie uwagę mówiących — odwrócili się więc, a przy świetle ogniska, mogli rozpoznać nowo przybyłego.

— Otóż i on! To pan Hacket! Witajcie, panie Hacket. Każesz długo czekać na siebie. Jesteśmy tutaj już blisko godzinę.

Pan Hacket był to człowiek małego wzrostu, otyły, czarno ubrany, z dzikim wyrazem na rozlanej twarzy.

— Moi przyjaciele — rzekł — spóźniłem się z powodu nieznanomości drogi i środków ostrożności, jakie przedsiębrać mi wypadało. Dziś rano opuściłem hrabiego Schumackera, a oto trzy worki złota, które mi polecił wam doręczyć.

Dwaj starcy rzucili się na złoto z chciwością, pospolitą u włościan ubogiej Norwegii. Młody górnik odepchnął worek, podany mu przez Hacketa,

— Zatrzymajcie panie swoje złoto — rzekł — skłamałbym bowiem, gdybym mówił, że powstaje dla waszego hrabiego Schumackera; należą do powstania, aby oswobodzić górników od opieki królewskiej; powstaje dlatego, aby moja matka nie okrywała się łachmanem wystrzępionym, jak brzegi naszego pocziwego kraju, Norwegii.

Daleki od zmieszania, pan Hacket odpowiedział z uśmiechem:

— Waszej przeto biednej matce, kochany Norbith, poślę te pieniądze, aby miała się czem osłonić przeciw ostrej zimie.

Młody człowiek zgodził się na to skinieniem głowy, posłaniec zaś, jako zręczny mówca, spiesźnie dodał:

— Nie powtarzaj jednak nigdy, jakeś to teraz wyrzekł nieroztropnie, że się bierzesz do broni nie dla Schumackera, hrabiego Griffenfeld.

— Jednakże... — odezwali się starcy — wiemy dobrze, że uciskają górników, ale wcale nie znamy hrabiego, owego więźnia stanu...?

— Jak to! — podchwycił żywo posłaniec — czy możecie być tak niewdzięczni!? Jęczycie w waszych podziemiach, pozbawieni powietrza i dziennego światła, ogołoceni z wszelkiej własności, pod brzemieniem najuciążliwszej opieki! Któż więc przyszedł wam z pomocą? Kto rozbudził waszą odwagę? Kto wam dostarczył pieniędzy, broni? Czy to nie mój dostojny pan, szlachetny hrabia Griffenfeld, niewolnik jak wy, ale od was jeszcze nieszczęśliwszy? A teraz, obsypani, jego dobrodziejstw, nie chcecie walczyć za jego wolność i razem za waszą.

— Masz pan słuszność — przerwał młody górnik — byłoby to nieszlachetnie z naszej strony.

— Tak, panie Hacket — rzekli obaj starcy — będziemy walczyli za hrabiego Schumackera.

— Odważnie, moi przyjaciele! Powstańcie w jego imię i z jednego na drugi koniec Norwegii nieście hasło waszego dobroczyńcy. Słuchajcie, wszystko sprzyja waszej słusznej sprawie: będziecie uwolnieni od groźnego nieprzyjaciela, generała Lewina Knud, który rządzi tą prowincją. Szlachetny mój pan, hrabia Griffenfeld, przez swoje tajemne wpływy, wyprawi go na jakiś czas do Berghen. Powiedzcie mi więc, Ken-nybol, Jonaszu i ty, kochany mój Norbith, czy wszyscy wasi towarzysze są już gotowi?

— Moi bracia z Guldbranschäl — rzekł Norbith — oczekują tylko mojego rozkazu. Jutro, jeśli pan sobie życzysz...?

— Jutro i owszem. Potrzeba, aby młodzi górnicy, którymi dowodzisz, powstałi pierwsi. No, a ty dzielny Jonaszu?

— Sześciuset zuchów z wysp Faroer, żywi się od trzech dni mięsem dzikich kóz i tranem niedźwiedzim, oczekując w lesie Bennallag na odgłos trąbki swego starego wodza, Jonasza z miasta Loewig.

— Bardzo dobrze. A ty, nieustraszony Ken-nybolu?

— Wszyscy, co noszą siekiery w wawozach Kole i bez nadkolanków wdrapują się na skały, gotowi są złączyć się z braćmi górnikami, gdy ci ostatni będą potrzebowali ich pomocy.

— Doskonale! Oświadczcie więc swoim towarzyszom—rzekł wysłaniec podniesionym głosem—aby nie wątpili o zwycięztwie, gdyż Han z Islandyi stanie na ich czele.

— Czy to pewne? — zapytali wszyscy trzej głosem, w którym bojaźń łączyła się z nadzieją.

Hacket odparł:

— Za cztery dni, o tej samej godzinie, będę czekał na was i na wasze oddziały w kopalni Apsyl-Corh, blisko jeziora Smiasen, pod płaszczyzną Niebieskiej-Gwiazdy. Han z Islandyi będzie mi towarzyszył.

— Znajdziemy się tam—odpowiedzieli trzej wodzowie.—Oby tylko Bóg nie opuścił tych, którym ma szatan dopomagać!

— Nie lękajcie się niczego ze strony Boga — rzekł Hacket z szyderstwem. — Słuchajcie! znajdziecie w zwaliskach Crag sztandary dla waszych oddziałów. Pamiętajcie tylko hasło: „Niech żyje Schumacker! Uwolnijmy Schumackera!“ Teraz musimy się rozłączyć, wkrótce bowiem świtać zacznie. Przedtem jednak przysięgnijcie, że zachowacie najgłębszą tajemnicę o wszystkim, co zaszło między nami.

Nie odpowiedziawszy ani słowa, każdy z dowódców końcem swej szabli otworzył sobie żyłę w lewej ręce, a później, chwytając za dłoń posła, nasączył na nią kilka kropel krwi.

— Oto nasza krew — mówili z kolei.

Poczem najmłodszy z nich zawołał:

— Niechaj wszystka moja krew wypłynie jak ta, którą wytoczyłem w tej chwili; niechaj zły duch igra sobie z mojemi zamiarami, jak huragan ze słomką; niech

moje ramię będzie z ołowiu, kiedy przyjdzie pomścić zniewagę; Niech nietoperze gnieźdzą się w moim grobie; niech za życia nawiedzają mnie duchy, a po śmierci znieważą żyjący; niech oczy moje rozplyną się w łzach, jak oczy kobiety: jeśli kiedykolwiek wymówię choć słowo o tem, co się działo przed chwilą na łące Ralpa-Olbrzyma. Niechaj mnie w tem wszyscy święci wysłuchać raczą!

— Amen! — dodali dwaj starcy.

Poczem rozeszli się, a na łące pozostało tylko napół zagasłe ognisko, którego niknące iskry wznosiły się chwilami aż do szczytu rozwalonych i samotnych wież Ralpa-Olbrzyma.

V

Teodor.

Uciekajmy tedy, Trystanie.

Trystan.

Co za szczególna niełaska!

Teodor.

Czyżby nas poznano?

Trystan.

Nie wiem, ale się tego obawiam.

Lopez di Vega, „Pies ogrodnika.“

Benignus Spiagudry daremnie się głowił, co mogło skłonić młodzieńca, pełnego urody i dzielności, do poszukiwania straszliwego Hana z Islandyi. Od początku przeto wędrówki bardzo często wprowadzał rozmowę na ten przedmiot, ale młodzieniec, co do celu swojej podróży, zachowywał uporeczywe milczenie. Dozorca umarłych również nie mógł zaspokoić i pod innemi względami ciekawości, wzbudzonej przez jego szczególniejszego towarzysza. Raz nawet zadał nieśmiało pytanie co do jego nazwiska.

— Nazywaj mnie Ordenerem — odpowiedział zapytany, a odpowiedź ta, aczkolwiek niezbyt zadawalająca, wymówiona była tonem, niedopuszczającym dalszych badań.

Trzeba się więc było wyrzec ciekawości. A przecież sam pocziwy Spiagudry ukrywał starannie, w łomoczku pod swoim płaszczem, pewną tajemniczą szkatułkę, poszukiwanie której zdawałoby mu się zupełnie niewłaściwem i nader nieprzyjemnem...

Opuścili oni Drontheim od czterech dni, niewiele zrobiwszy drogi, zarówno wskutek uszkodzeń zrządzonych przez burzę, jak i z powodu mnóstwa bocznych drózek i manowców, przez które ostrożny dozorca umarłych prowadził dla uniknienia miejsc zamieszkałych. Pozostawiawszy Skongen z prawej strony, czwartego dnia wieczorem doszli do brzegów jeziora Sparbo.

Gładka powierzchnia wód, odbijając ostatnie dnia promienie i pierwsze gwiazdy nocy, w otoczeniu wysokich skał, zielonych jodeł i wysokich dębów, przedstawiała obraz ponury i wspaniały. Widok jeziora, szczególnież wieczorem, sprawia niekiedy w pewnej odległości szczególniejsze zjawisko optyczne; zdaje się być bowiem jakby cudowną przepaścią, która przechodząc na wylot kulę ziemską, pozwala nam widzieć iskrzące się niebo.

Ordener zatrzymał się, aby popatrzeć na stare lasy druidzkie, pokrywające wzgórzyste brzegi jeziora, jak czupryna włosów, i na malownicze chaty wsi Sparbo, rozrzucone na pochyłości, jak rozpierzchła trzoda kóz białych. Słuchał z upojeniem dalekich kuźni odgłosu, łączącego się z głuchym szmerem czarodziejskich lasów, z bezustannem świegotaniem dzikiego ptastwa i z poważną harmonią fal jeziora. W stronie północy, olbrzymia skała, oświecona jeszcze przez promienie zachodzącego słońca, wznosiła się majestatycznie po nad niedaleką

wioską Oelmoe; dalej zaś jej wierzchołek ugiął się pod kupą zwalisk starego zamku, jakby olbrzym strudzony, dźwigający swoje brzemie.

Kiedy nas smutek owładnie, wtedy ponure widoki podobać się nam muszą: smutek nasz zresztą jeszcze bardziej ponuremi je czyni. Rzućcie człowieka nieszczęśliwego pomiędzy dzikie i wysokie góry, po nad posępne jeziora, w ciemny las przed samym wieczorem, a będzie patrzył na ten widok poważny, na tę surową naturę, niejako przez żalobną zasłonę — będzie mu się zdawało, że słońce nie zachodzi, ale nazawsze umiera.

Ordener marzył milczący i nieruchomy, kiedy nagle towarzysz jego zawołał:

— Wybornie, mój młody panie! Jakże przyjemnie jest marzyć po nad norweskiem jeziorem, które tyle w sobie zawiera pleuronektów ¹⁾.

Uwaga ta, a również gość, jaki jej towarzyszył, rozmieszyłyby każdego, ale nie kochanka, rozłączonego ze swoją umiłowaną, której już może nigdy nie miał zobaczyć. Uczony dozorca Spladgestu mówił dalej:

— Pozwól pan jednak, abym ci przerwał twoje naukowe rozmyślanie przypomnieniem, że dzień ma się już ku schyłkowi, my więc powinniśmy się spieszyć, aby do wsi Oelmoe dojść przed zmrokiem.

Rada była słuszną. Ordener ruszył dalej, a Spiagudry szedł za nim, czyniąc nieustannie uwagi nad ciekawymi okazami fauny i flory, w które okolice je-

¹⁾ Gatunek ryb.

zioro Sparbo obfitują. Ordener jednak nie słuchał jego uczonych popisów.

— Panie Ordener—mówił Spiagudry—gdybyś pan wierzył słowom życzliwego przewodnika, wyrzekłbyś się napewno swego niebezpiecznego przedsięwzięcia i osiadłbyś lepiej nad brzegami tego jeziora tak ciekawego, gdzie moglibyśmy oddać się razem wielu uczonym poszukiwaniom, jak na przykład szczególniejszej rośliny *stella canora palustris*, uważanej przez niektórych naturalistów za bajeczną, o której biskup Arugrim wspominając twierdzi, że ją widział i słyszał nad brzegami Sparbo. Dodaj pan do tego, że zamieszkiwalibyśmy na gruncie, który zawiera w sobie najwięcej gipsu w całej Europie, dokąd nadto siepacze *Temidy* z Drontheim, najrzadziej zaglądają. Czy to się panu nie uśmiecha? Dalej, wyrzecz się pan swjej nierozsądnej podróży, bo bez obrazy, przedsięwzięcie pańskie jest niebezpieczne, a bez żadnej korzyści, *periculum sine pecunia*, to jest nierozsądne i powzięte w chwili, w której powinienś pan być lepiej o czem innem pomyśleć.

Ordener, puszcżając mimo uszu gawędzenie dozorey umarłych, podtrzymywał rozmowę tylko przez pojedyncze i nie nieznaczące wyrazy, które zwykle gaduły uważają za odpowiedź. W ten sposób przybyli do folwarku Oelmoe, gdzie właśnie panował szczególniejszy ruch i ożywienie.

Mieszkańcy—strzelcy, rybacy, kowale, wychodzili ze swoich chat i zbierali się około niewielkiego wzgórza, zajętego przez kilku ludzi, z których jeden

trąbił na rogu, powiewając nad swą głową chorągiewką czarną z białem.

— To pewnie jaki szarlatan — rzekł Spiagudry — *ambubajarum collegia, pharmacopolae*, nędznik, zamieniający złoto w ołów, a skaleczenia w rany. Popatrzmy, jaki też on piekielny wynalazek sprzedawać będzie tym biednym wieśniakom. Gdyby przynajmniej ci nędzni oszuści poprzestawali na królach, naśladowując w tem Duńczyka Borchę i Medyolańczyka Borri, alchemików, [co tak doskonale zadrwali sobie z naszego Fryderyka III ¹⁾]; ale oni zarówno są chciwi na denary biednego chłopę, jak i na miliony monarchy.

Spiagudry mylił się; zbliżywszy się do pagórka, poznali po czarnej sukni, czapce okrągłej i spiczastej, syndyka, otoczonego przez kilku łuczników. Trąbiący na rogu był obwoływaczem wyroków.

Zbiegły dozorca umarłych pobladł z przerażenia i wyszeptał z cicha:

— Doprawdy, panie Ordener, że wchodząc do tej wioski, nie spodziewałem się spotkać z syndykiem. Niechaj Opatrzność ma mnie w swej opiece! Co też on będzie mówił?

¹⁾ Fryderyk III padł ofiarą oszusta Borchę, albo Borrichiusa, chemika duńskiego, a nadewszystko Borriego, medyolańskiego szarlatana, mianującego się ulubieńcem Michała Archanioła. Szalbierz ten, obalamuciwszy swemi mniemanami cudami Strasburg i Amsterdam, nie znał już granic swej ambicji i śmiałości swoich kłamstw i po oszukaniu ludu, ośmielił się oszukiwać królów. Zaczął od królowej Krystyny w Hamburgu, a skończył na królu Fryderyku w Kopenhadze.

Jego niepewność trwała niedługo, ponieważ piskliwy głos obwoływacza wyroków odezwał się nagle, a cały tłum mieszkańców wsi Oelmoe słuchał go z namaszczeniem:

— W imieniu jego królewskiej mości — mówił — i z rozkazu jego ekscelencyi generała Lewina Knud, gubernatora, wysoki syndyk Drontheimhuusu zawiadamia wszystkich mieszkańców miast, miasteczek i wsi w całej prowincyi, że:

1-o „Za głowę Hana, urodzonego w Klipstadur, w Islandyi, mordercy i podpalacza, naznaczoną jest nagroda tysiąca talarów królewskich.“

Pomiędzy słuchaczami rozległ się szmer, obwoływacz zaś mówił dalej:

2-o „Za głowę Benignusa Spiagudry, czarownika i świętokradcy, byłego dozorey Spladgestu w Drontheim, naznaczoną jest nagroda czterech talarów królewskich.“

3-o „Edykt niniejszy ogłoszony będzie w całej prowincyi przez syndyków miast, miasteczek i wsi, którzy ułatwią wykonanie onego.“

Po odczytaniu, syndyk, wziąwszy edykt z rąk obwoływacza, dodał głosem ponurym i uroczystym:

— Życie tym ludziom może odebrać każdy, komu się podoba.

Czytelnik z łatwością wyobrazi sobie, że ogłoszenie to było wysłuchane nie bez pewnego wzruszenia przez nieszczęśliwego Spiagudrego. Niema nawet wątpliwości, że nadzwyczajne oznaki przestachu, których nie mógł pohamować, zwróciłyby zapewne na niego

uwagę zgromadzenia, gdyby go nie zajęła w zupełności pierwsza część edyktu.

— Nagroda za głowę Hana! — zawołał stary rybak przybyły tam w tej chwili, wlokąc za sobą mokre jeszcze sieci. — Mogliby zarówno, na Świętego Usulpha, naznaczyć nagrodę za głowę Belzebuba!

— Aby jednak zachować proporcję między Hanem i Belzebubem — rzekł strzelec, którego po kurtce z koziej skóry poznać było można — powinnyby naznaczyć przynajmniej tysiąc pięćset talarów za rogatą głowę tego ostatniego.

— Chwała Najświętszej Matce Boskiej! — dodała stara kobieta z trzęsącą się łysą głową, zwijając swoje wrzeciono. — Chciałabym widzieć głowę tego Hana, aby się przekonać, czy zamiast ócz, ma rzeczywiście, jak mówią, rozpalone węgle.

— Tak, tak — odpowiedziała druga — przecież swoim spojrzeniem spalił katedrę w Drontheim. Ja jednak radabym go zobaczyć całego, z jego wężowym ogonem, rosochatemi nogami i skrzydłami nietoperza.

— Kto wam nagadał takich bajek, moja matko? — przerwał strzelec z głupowatą miną. — Widziałem przecież Hana z Islandyi w wąwozach Medsyhath; jest to człowiek taki, jak inni, tyle tylko, że wysoki, jak czterdziestoletnia topola.

— Czy doprawdy? — odezwał się ze szczególnym przyciskiem głos z tłumu.

Głosem tym — na którego dźwięk zadrżał Spiagudry — przemówił człowiek niskiego wzrostu, z kapeluszem górniczym o szerokich skrzydłach, zasłaniających mu twarz całą, odziany zresztą w matę z sitowia i skórę morskiego cielecia.

— Na uczciwość — odezwał się kowal w faldzistym płaszczu — niech dają za jego głowę tysiąc albo dziesięć tysięcy talarów, czy ma cztery lub czterdzieści sążni wysokości, to ja jednak nie myślę go odwiedzić.

— Ani ja! — rzekł rybak.

— Ani ja! ani ja! — przywróżyły wszystkie głosy.

— Ktoby jednak miał chęć po temu — zawołał górnik niskiego wzrostu — to może znaleźć Hana z Islandyi jutro w zwaliskach Arbara, blisko Smiasen, pojutrze zaś w grocie Walderhoga.

— Czy jesteś tego pewnym, mój zuchu?

Pytanie to zadał jednocześnie Ordener, przypatrujący się całej scenie z zaciekawieniem łatwym do pojęcia dla każdego, prócz Benignusa, i człowieka niski, dość otyły, czarno ubrany, z wesołym obliczem, który na pierwszy głos rogu obwoływacza, wyszedł z jedynej oberży, jaka się we wsi znajdowała. Nieznajomy w wielkim kapeluszu zdawał się im obydwom przez chwilę przypatrywać, a nareszcie wyrzekł głucho:

— Tak jest.

— Ale skądże wiesz o tem, że twierdzisz tak stanowczo? — zapytał Ordener.

— Wiem gdzie jest Han z Islandyi, tak samo, jak wiem gdzie jest Benignus Spiagudry. Jeden i drugi niedaleko są w tej chwili.

Strach przejął na nowo biednego dozorcę umarłych, nie śmiąc więc spojrzeć na tajemniczego człowieka i w przekonaniu, że go niedostatecznie ukrywa francuska peruka, zaczął ciągnąć za płaszcz Ordenera i mówił doń z cicha:

— Panie, na imię nieba, przez litość! idźmy stąd, uciekajmy z tego przekłętego przedmieścia piekła.

Ordener, równie jak i on zdziwiony, przypatrywał się uważnie małemu człowiekowi, który odwróciwszy się tyłem, zdawał się starannie twarz swoją ukrywać.

— Co do Benignusa Spiagudry—zawołał rybak—to widziałem go w Spladgeście w Drontheim. Bardzo wysoki. Za niego to dają cztery talary?!

Strzelec parsknął śmiechem.

— Cztery talary! Już ja tam nie myślę na niego polować. Lepiej przecie płacą za skórę niebieskiego lisa.

Porównanie to, któreby innym razem obraziło uczonego dozorcę umarłych, obecnie uspokoiło go nieco. Miał jednak zwrócić się do Ordenera z nową prośbą o udanie się w dalszą drogę, kiedy ten, dowiedziawszy się, o czem wiedzieć pragnął, uprzedził go, wyszedłszy z tłumu, który już zaczął się przerzedzać.

Chociaż więc, przybywając do wsi Oelmoe, mieli zamiar noc tam przepędzić, opuścili ją jednak jakby wskutek niemej umowy, nie spytawszy się nawet wzajemnie o powód swego nagłego odejścia. Ordener miał nadzieję wcześniej spotkać się z rozbójnikiem, Spiagudry zaś pragnął jak najprędzej oddalić się od łuczników.

Ordener był w zbyt poważnem usposobieniu, aby się miał śmiać z przygód swego towarzysza. Dlatego też życzliwym głosem pierwszy przerwał milczenie.

— W jakiej to ruinie można będzie znaleźć jutro Hana z Islandyi, jak wspomniał ów mały człowiek, co zdaje się wiedzieć o wszystkim?

— Nie wiem... Nie dosłyszałem, szlachetny panie—rzekł Spiagudry, który tym razem nie kłamał.

— Trzeba więc będzie — mówił dalej młodzieniec — szukać go pojutrze w grocie Walderhoga.

— W grocie Walderhoga? Tak panie, to jest ulubiona kryjówka Hana.

— Idźmy więc w stronę tej groty.

— W takim razie zwróćmy się na lewo, po za skałę Oelmoe; potrzeba przynajmniej dwóch dni, abyśmy do jaskini Walderhoga dojść mogli.

— A czy znasz, starcze — spytał Ordener ostrożnie— tego szczególnego człowieka, który ciebie zdaje się znać tak dobrze?

Zapytanie to obudziło w Spiagudrym bojaźń, słabnącą w miarę jak się oddalali od wsi Oelmoe.

— Nie, panie—odpowiedział ze drżeniem.—Tylko on ma głos bardzo dziwny.

Ordener starał się go uspokoić.

— Nie obawiaj się, starcze — rzekł — służ mi wiernie, a ja cię od wszystkiego obronię. Jeśli powrócę zwyciężywszy Hana, w takim razie nie tylko przyrzekam ci ulaskawienie, ale nadto ustąpię na twoją korzyść tysiąc talarów, naznaczonych za jego głowę.

Zacny Benignus nadzwyczajnie kochał życie, ale i nadzwyczajnie uwielbiał złoto. Obietnice Ordenera były dlań jakby czarodziejskimi słowami; nie tylko bowiem rozproszyły jego bojaźń, ale nadto rozbudziły w nim śmieszna wesołość, wyrażającą się przez długie rozprawy, dziwaczną gestykulację i uczone cytaty.

— Panie Ordener — mówił—choćbym miał w tym przedmiocie odbyć spór z Owerem Bilsenthem, nazy-

wanym *Gadulą*, to jednak utrzymywać będę, że pan jesteś rozsądnym i zacnym młodzieńcem. Bo i cóż wistocie może być godniejszego i chwalebniejszego, *quid cythara, tuba, vel campana dignius*, jak szlachetne narażenie życia dla uwolnienia swego kraju od potwora, rozbójnika, szatana, w którego wszyscy szatani, rozbójnicy i potwory zdają się być wcieleni? Nikt nie może powiedzieć, że pana brudna chciwość prowadzi; szlachetny Ordener odstępował nagrodę walki towarzyszowi swej podróży, starcowi, który go prowadził o milę tylko od grotty Walderhoga, bo pan przecie pozwolił, abym oczekiwał rezultatu pańskiego chwalebego przedsięwzięcia we wsi Surb, położonej o milę od grotty Walderhoga, w lesie? A kiedy wszyscy dowiedzą się o pańskim zwycięstwie, wtedy cała Norwegia cieszyć się będzie, jak *Vermund-Banita*, kiedy ze szczytu skały Oelmoe, około której teraz idziemy, spostrzegł wielki ogień, który jego brat *Halfdan* zapalił, na znak wyswobodzenia, na munckholmskim zamku...

Po tych słowach Ordener żywo zapytał:

— Jak to, z wierzchołka tej skały widać zamek munckholmski?

— Tak jest, panie, o dwadzieścia pięć mil na południe, między górami, które ojcowie nasi nazywali *Stolkami Friggi*. W tej chwili doskonale zapewne widać latarnię zamkową.

— Czy być może! — zawołał Ordener, chwytając z radością myśl ujrzenia raz jeszcze miejsca, w którym jego szczęście zostało.

— Starcze! musi być jaka ścieżka, co prowadzi na szczyt tej skały?

— Jest ścieżka, rozpoczynająca się w lesie, do którego właśnie wchodzimy, i wznosząca się dosyć łagodnie, aż do nagiego wierzchołka skały, po której prowadzą dalej, aż do zamku Vermunda-Banity, stopnie w skałę wykute. Te to ruiny możesz pan widzieć przy świetle księżyca.

— A więc, starcze, wskażesz mi tę ścieżkę; przejdziemy noc w ruinach, z których widać munckholmski zamek.

— Czy pan to mówisz na seryo? — spytał Benignus. — Ależ trudy całodzienne...

— Starcze, będę wspierał twoje kroki, ja zaś nigdy jeszcze tak pewno, jak teraz, nie szedłem.

— Ależ ciernie, tamujące drogę po ścieżce, od tak dawna opuszczonej, poobruszane kamienie, noc...

— Będę szedł pierwszy.

— Może jaki zwierz drapieżny, lub jaki potwór ohydny...

— Przecież nie dla unikania potworów przedsięwzięłem tę podróż.

Myśl pozostania tak blisko Oelmoe bardzo nie podobala się Spiagudremu; nadzieja ujrzenia latarni Munckholmu uradowała i popychała naprzód Ordenera.

— Mój młody panie—rzekł wreszcie Spiagudry—porzuć ten zamiar, wierzaj mi; mam przecucie, że on nam nieszczęście przyniesie.

Wobec tego, czego pragnął Ordener, prośba ta musiała zostać bez skutku.

— No, dalej — rzekł z niecierpliwością — zastanów się, żeś się zobowiązał dobrze mi służyć. Pokaż mi ową ścieżkę, gdzież ona jest?

— Wkrótce do niej dojdziemy — rzekł odzwier-
ny umarłych widząc, że musi być posłusznym.

I w samej rzeczy, po chwili ścieżka ukazała się
ich oczom; weszli na nią, ale wpierw Spiagudry zau-
ważył ze zadziwieniem i przestachem, że wysoka trawa
była zdeptana i że na starej ścieżce Vermunda-Benity,
widoczne były ślady ludzkich kroków.

~~~~~

## VI

*Clenardo.*

Król o was pyta.

*Henrico.*

Czy to być może?

*Lopez di Vega, „La fuerza lastimosa.“*

Nad rozrzuconemi na biurku papierami, wśród  
których można było spostrzedz listy świeżo odpieczo-  
wane, siedział jenerał Lewin Knud, zdając się być  
głęboko zamyślonym. Jeden z sekretarzy, stojąc przed  
nim, oczekiwał rozkazu. Jenerał uderzał co chwila  
ostrogami po bogatym dywanie, leżącym pod jego  
nogami, albo bawił się z roztargnieniem orderem  
Słonia, zawieszonym na jego szyi na złotym łań-  
cuchu. Od czasu do czasu otwierał usta, jakby chciał  
przemówić; później, zatrzymując się i tracąc po czole,  
rzucił nowe spojrzenia na zalegające stół depesze.

— Cóż u dyabła! — zawołał nakoniec.

Po wykrzyku tym, znowu nastąpiło milczenie.

— Ktoby to pomyślał — rzekł nareszcie — że  
ci szaleńcy górniczy dojdą aż do tego? Niema jednak  
wątpliwości, że to jakieś tajemne podżeganie popchnęły  
ich do tego buntu. Czy wiesz, Wapherney, że to nie  
są żarty? Czy wiesz, że pięciuset czy sześciuset hultajów  
z wysp Faroer, pod dowództwem starego bandyty imie-



niem Jonasz, opuściło kopalnię? Że młody fanatyk Norbith, stanął również na czele malkontentów z Guldbranschala? Że w Sund-Moer, Hubfallo i Konsbergu, ci zapaleńcy oczekują tylko sygnału, a może już i powstali? Czy wiesz, że i górale mieszkają się do tego i że najśmielszy lis z Kole, stary Kannybol, nimi dowodzi? Czy wiesz na koniec, że według pogłosek, w północnej części Drontheimhuus, jeśli można wierzyć temu, co mi donoszą syndyce, sławny zbrodniarz, na którego głowę nałożyliśmy nagrodę, straszliwy Han, stoi na czele powstania? No i cóż powiesz na to, Wapherney?

— Wasza ekszellenca — rzekł sekretarz — wie, jakie środki...

— Jest nadto w tej oplakanej sprawie okoliczność, której nie mogę sobie wytłumaczyć. Utrzymują, że nasz więzień, Schumacker, ma być sprawcą buntu. Zdaje się to nie dziwić nikogo, mnie zaś zadziwia jak najbardziej. Nie sądzę, aby człowiek, z którym Ordener tak lubił przebywać, mógł być zdrajca. Utrzymują jednak, że górnicy powstają w jego imieniu, że jego nazwisko jest dla nich hasłem, że nadają mu nawet tytuły, których go król pozbawił... Wszystko to zdaje się być zupełnie pewnem... Ale w jaki sposób hrabina Ahlefeld wiedziała o tych szczegółach jeszcze przed sześciu dniami, to jest, kiedy pierwsze dopiero objawy rzeczywistego powstania ukazały się w kopalniach? To bardzo szczególne. Bądź co bądź, trzeba wszystkiemu zaradzić. Daj mi moją pieczęć, Wapherney.

Jenerał, napisawszy trzy listy, zapieczętował je i oddał sekretarzowi.

— Poślij to do barona Voethaun, pułkownika

muszkieterów, stojących garnizonem w Munckholm. Rozkazuję mu, aby pułk jego natychmiast wyruszył przeciw zbuntowanym. Oto rozkaz dla komendanta w Munckholm, aby jak najstaranniej pilnował byłego wielkiego kanclerza. Muszę sam widzieć i wy badać tego Schumackera. Na koniec, ten oto list wyślij do Skongenu, do majora Wolhma, dowodzącego tamże, aby część swego garnizonu skierował na samo ognisko buntu. Idź Wapherney, a rozkazy te niechaj szybko będą wykonane.

Sekretarz wyszedł, zostawiając gubernatora pożądanego w zamyśleniu.

— To wszystko bardzo mnie niepokoi — mówił jenerał do siebie. — Zbuntowani górnicy tam, — ta intrygantka kanclerzyna tutaj, ten szalaniec Ordener... nie wiadomo gdzie! Może on sobie podróżuje pośród tych bandytów, pozostawiając tutaj pod moją opieką Schumackera, spiskującego przeciw rządowi, i jego córkę, dla bezpieczeństwa której kazałem usunąć z Munckholmu kompanię Fryderyka Ahlenfelda, ponieważ go Ordener obwinia... Ale, ale, zdaje mi się, że ta kompania będzie mogła powstrzymać pierwsze oddziały powstańcze; w doskonałym właśnie znajduje się miejscu. Walhstom, gdzie stoi garnizonem, jest blisko jeziora Smiasen i zwalisk Arbara. Jest to jeden z punktów, w których powstanie napewno się rozszerzy...

W tej chwili rozmyślanie jenerała przerwał łoskot otwierających się drzwi.

— Czego chcesz, Gustawie?



— Przybyły tu posłaniec chce się widzieć z waszą ekscelencyą.

— Cóż to znowu? Czy jakie nieszczęście? Niechaj wejdzie.

Po chwili, posłaniec wręczył gubernatorowi opieczetowaną ekspedycyę.

— Wasza ekscelencyo — rzekł — to od jego dostojności wice-króla.

Jenerał otworzył depeszę z pośpiechem.

— Na Świętego Jerzego — zawołał z zadziwieniem — chyba poszaleli! Wice-król wzywa, abym się udał do niego, do Berghen! Jest to — pisze mi — sprawa bardzo pilna, a nadewszystko z rozkazu króla... Sprawa ta najzupełniej w porę wypadła! „Wielki kanclerz, zwiedzający obecnie prowincyę Drontheimhuus, zastąpi pana, podczas jego nieobecności...“ Jest to zastępca, któremubym niebardzo ufał... „Biskup będzie jego pomocnikiem...“ Doprawdy, że Fryderyk dobrych wybrał rządców dla zbuntowanego kraju: „kanclerz i biskup!“ Wezwanie jednak bardzo jest wyraźne, rozkaz króla... trzeba więc jechać. Przed wyjazdem wszakże muszę Szumackera zobaczyć i wybadać. Czuję, że mnie chcą pogrążyć w cały chaos intryg; ale, aby się kierować, mam busolę, która mnie nigdy nie zawiedzie... Jest nią moje sumienie!

## VII

Wszystko zdaje się przemawiać,  
aby mu wyrzucić jego zbrodnię.

*Byron „Kain“.*

— Tak, panie hrabio, właśnie to dzisiaj w zwaliskach Arbara, możemy się z nim spotkać. Różne okoliczności stwierdzają prawdziwość tej ważnej nowiny, którą, jak to już mówiłem panu hrabiemu, słyshałem wypadkiem wczoraj wieczorem, we wsi Oelmoe.

— A daleko jeszcze jesteśmy od zwalisk Arbara?

— Leżą one nad jeziorem Smiasen. Przewodnik upewniał mnie, że staniemy tam przed południem.

W ten sposób rozmawiało dwóch ludzi, jadących konno i owiniętych w ciemne płaszcze. Ludzie ci dążyli bardzo rano po jednej z tysiąca krętych i wązkich drózek, jakie przeryniają na wszystkie strony las, leżący między jeziorami Smiasen i Sparbo. Przewodnik z gór, opatrzoney w trąbkę i uzbrojony w siekiere, poprzedał ich na siwym koniku, po za nimi zaś zdążało czterech innych jeźdźców, od stóp do głów uzbrojonych, ku którym podróżni często się obracali, jakby z obawy, żeby nie usłyszano ich rozmowy.

— Jeżeli ten rozbójnik islandzki znajduje się rzeczywiście w zwaliskach Arbara — mówił podróżny, którego koń, snąc przez uszanowanie, szedł w pewnej odległości — Han z Islandyi. Tom. II.



głości za wierzchowcem jego towarzysza — w takim razie wieleśmy zyskali, najtrudniej bowiem było wynaleźć tę istotę niedoścignioną.

— Tak sądzisz, Musdoemonie? A gdyby odrzucił nasze propozycje?...

— Niepodobna, wasza łasko! Złoto i bezkarność — jakież zbrodzeń mógłby się temu oprzeć?

— Wiesz przecie o tem, że rozbójnik ten nie jest zwyczajnym zbrodniarzem. Nie, sądz go zwykłą miarą. Jesliby więc odmówił, jakże wtedy dotrzymać obietnicy, uczynionej przedwczoraj w nocy trzem dowódcom buntu?

— Ależ w takim razie, szlachetny hrabio, choć tego nie przypuszczam, jeśli go tylko znajdziemy, czy wasza łaska zapomina, że fałszywy Han z Islandyi czekać mnie będzie za dwa dni, na miejscu umówionem, z trzema dowódcami, to jest na płaszczyźnie Gwiazdy-Niebieskiej, skąd zresztą bardzo blisko do zwalisk Arbara?...

— Zawsze masz słuszość, kochany Masdoemonie — rzekł szlachetny hrabia, poczem obydwaj pogrążyli się w zamyśleniu.

Musdoemon nakoniec, któremu wiele na tem zależało, aby swego pana utrzymać w dobrym humorze, dla rozerwania go, spytał przewodnika:

— Co to za krzyż kamienny, mój zuchu, co się wznosi tam wysoko, po za temi młodemi dębami?

Przewodnik, z wytrzeszczonymi oczami i głupią miną, odwrócił głowę i kiwnąwszy nią kilkakrotnie, rzekł:

— Och! panie, to nie krzyż, ale najdawniejsza

szubienica w całej Norwegii. Święty król Olaus kazał ją wystawić dla sędziego, który zawarł ugodę z rozbójnikiem.

Musdoemon spostrzegł, że objaśnienie przewodnika wywarło na jego dostojnym towarzyszu wcale niemiłe wrażenie.

— Była to — mówił dalej przewodnik — szczególniejsza historia; moja matka Osya opowiadała mi ją. Oto rozbójnikowi kazano powiesić sędziego...

Biedny przewodnik w swojej naiwości nie prze czuł tego, że zdarzenie, którem chciał zabawić podróżnych, było dla nich obelgą. Musdoemon przerwał mu:

— Dosyć, dosyć — rzekł do niego — znamy tę historję.

— Zuchwalec! — wyszeptał hrabia — zna tę historję! Ach, Musdoemonie, drogo mi zapłacisz za twoją beczelność.

— Czy wasza łaska raczy co mówić? — spytał Musdoemon uniżenie.

— Myślę nad sposobem, w jaki można wyrobić ci nareszcie order Danebroga. Matężństwo mojej córki z baronem Ordenerem najlepszą będzie do tego okazyą.

Musdoemon wystąpił z podziękowaniami.

— Mówmy teraz — rzekł hrabia — o naszych interesach. Jak sądzisz, czy wysłany przez nas rozkaz z chwilowem odwołaniem doszedł już Meklemburczyka?

Czytelnik przypomina sobie zapewne, że hrabia w ten sposób zwykle nazywał jenerała Lewina Knud, który rzeczywiście pochodził z Meklemburga.

— Mówmy o naszych interesach! — powtórzył



w duchu obrażony Musdoemon — widzieć, że moje interesy nie są naszymi interesami. Sądzę, panie hrabio — rzekł potem głośno — że posłaniec wice-króla musiał już przybyć do Drontheimu, a zatem generał Lewin wkrótce pewno odjedzie.

Hrabia odparł na to zyczliwie:

— Odwołanie to, mój drogi, jest mistrzowskiem dziełem; jest to jedna z twoich intryg najlepiej obmyślonych i najzręczniejszych wykonanych.

— Zaszczyt pomysłu jej należy równie do jego łaski, jak i do mnie — odrzekł Musdoemon, baczny na to, aby hrabiego mieszać do wszystkich swoich knań.

Hrabia pojmował tajemną myśl swego powiernika, udawał jednak, że jej nie odgaduje. Rzekł przeto z uśmiechem:

— Zawsze jesteś zbyt skromnym, kochany sekretarzu tajny; potrafisz jednak ocenić twoje ważne usługi. Obecność Elphegii i wyjazd Meklembureczyka zapewniają mi tryumf w Dronheimie. Niespodziewanie jestem rządcą prowincji i jeżeli Han z Islandji przyjmie dowództwo nad powstańcami, które mu sam ofiaruję, wtedy w oczach króla na mnie spadnie chwała uspokojenia niebezpiecznego buntu i ujęcia tego straszego bandyty.

Rozmawiali w ten sposób z cicha, kiedy nagle przewodnik odwrócił się ku nim.

— Na lewo — rzekł — na tym wzgórzu, Biord Sprawiedliwy kazał ściąć, wobec swojej armii, Velona o dwóch językach, zdrajcę, który oddalił prawdziwych obrońców króla i nieprzyjaciela sprowadził do obozu, aby mniemano, że to on tylko ocalił Biordowi życie...

— Wszystkie te legendy starej Norwegii nie były widzieć w guście Musdoemona, przerwał bowiem nagle przewodnikowi.

— No, no, pocziwcz — rzekł — idź dalej, nie odwracaj się; co nas mogą obchodzić te wszystkie głupie zdarzenia, co ci je przywodzą na myśl te stare zwałiska lub uschnięte drzewa! Twojami baśniami niepokoisz mojego pana.

Musdoemon mówił zupełną prawdę.

---



# VIII

Oto godzina, w której lew ryczy,  
Wilk księżycowi swem wyciem bluźni,  
A robotnik w chacie szczęśliwy drze-  
mie,  
Złamany trudem nużącej pracy.  
Spalone głównie ledwie już tleją  
w ognisku,  
Puszczyk wydaje krzyk swój zło-  
wieszczy  
I głosi nieszczęśliwym, co leżą w bo-  
leściach,  
Smutne wspomnienie całuna śmierci.  
To owa chwila ponurej nocy,  
Kiedy mogiła nawpół otwarta  
Z swojego łona uwalnia widma,  
By się błąkały w murach cmentarza.  
*Shakspeare* „Sen nocy letniej“.

Cofnijmy się nieco. Pozostawiliśmy Ordenera i Spiagudrego wdrapujących się z trudnością, o wscho-  
dzie księżycu, na garbaty wierzchołek skały Oelmoe. Skałę tę, zupełnie nagą, blisko jej wierzchołka wie-  
śniacy norwescy nazywali wówczas Szyją Sępa, a na-  
zwa ta dość dobrze określa kształt, jaki przedstawia  
zdaleka ta olbrzymia masa granitu.

W miarę, jak nasi podróżni zbliżali się do na-  
giej części skały, las zastępowały krzaki. Po bujnych  
trawach widziałeś już tylko mchy, po dębach i brzo-  
zach

dzikie róże, jałowce i ostrokrzewy. Jawny dowód sto-  
pniowego ubożenia roślinności, co na wysokich górach,  
wskazuje zawsze bliskość wierzchołka, świadcząc za-  
razem o zmniejszaniu się warstwy ziemi na tem, coby  
skieletem góry nazwać można.

— Panie Ordener — mówił Spiagudry, którego  
sposstrzegawczy umysł tysiączne zajmowały myśli —  
spadziłość ta bardzo jest przykra i aby iść za panem,  
potrzeba całego poświęcenia. Ale zdaje mi się, że  
widzę tam, po prawej stronie, przepyszną *convovulus*;  
chciałbym mu się przypatrzeć. Szkoda tylko, że to nie  
dzień! Ale wiesz pan, że ocenienie takiego uczonego,  
jak ja, na cztery nędzne talary, bardzo jest obrażające.  
Prawda jednak, że sławny Fedr był niewolnikiem i że  
Ezopa, jeśli mamy wierzyć uczonemu Plamodiuszowi,  
sprzedano na targu jak bydło, albo rzecz jakąś. A któ-  
żby nie był dumny z podobieństw do wielkiego Ezopa?

— A do sławnego Hana? — spytał Ordener  
z uśmiechem.

— Na miłość Boską — odpowiedział dozorca —  
nie wymawiaj pan tego imienia; przysięgam panu, że  
chętniebym się obył bez tego ostatniego podobieństwa.  
Ale jakieby to było szczególne, gdyby nagroda za jego  
głowę dostała się Benignusowi Spiagudry, towarzyszo-  
wi jego nieszczęścia. Pan jednak, panie Ordenerze,  
jesteś szlachetniejszy niż Jazon, bo on nie dał złotego  
runa sternikowi z Argo; przedsięwzięcie zaś pańskie,  
którego celu nie pojmuję, niemniej jest niebezpie-  
czne, jak Jazona.

— Ale ponieważ znasz Hana z Islandyi — rzekł  
Ordener — to powiedzże mi o nim jakie szczegóły.



Dotychczas objaśniłeś mnie tylko, że nie jest olbrzymem, jak to ogólnie utrzymują.

Spiagudry przerwał mu:

— Wstrzymaj się pan! Czyż pan nie słyszysz stapania za nami?

— Słyszę — odpowiedział z zimną krwią młody człowiek. — Bądź jednak spokojny; to pewnie jakie dzikie zwierzę, które wskutek naszego zbliżania, ucieka przestraszone, uderzając o krzaki.

— Masz pan słuszość, mój młody cesarze; już tak dawno w tych lasach nie stapała noga ludzka! Sądząc z ciężkości kroków, zwierzę to musi być wielkie. To zapewne łoś albo renifer; w tej części Norwegii bardzo ich się wiele znajduje. Są tutaj także i dziki. Widziałem jednego przywiezionego do Kopenhagi; był on potwornej wielkości. Muszę panu opisać to straszliwe zwierzę...

— Wolałbym, kochany przewodniku — rzekł Ordener — abyś mi opisał innego potwora, niemniej okrutnego, to jest straszliwego Hana...

— O panie, mów ciszej! — Jakże można tak spokojnie wymawiać to imię. Pan nie wiesz... O Boże, słuchaj pan!

Mówiąc te słowa, Spiagudry zbliżył się do Ordenera, który słyszał bardzo wyraźnie krzyk, podobny do ryku, jaki, jeśli czytelnik sobie przypomina, przestraszył tak silnie trwożliwego dozorcę umarłych, podczas burzliwego wieczoru, kiedy opuszczali Drontheim.

— Czy pan słyszałeś? — zawołał tenże ledwie oddychając z bojaźni.

— Tak jest — odparł Ordener — i nie rozumiem

przyczyny, dlaczego drżysz? Jest to ryk dzikich zwierząt, a może nawet głos dzika, o którym dopiero co mówiłeś. Czy sądziłeś, że będziemy przechodzili te miejsca o podobnej godzinie, nie będąc niepokojeni przez ich mieszkańców? Ręczę ci starcze, że oni są jeszcze więcej od ciebie przestraszeni.

Spiagudry, widząc zimną krew swego młodego towarzysza, uspokoił się nieco.

— Bardzo być może — rzekł — że pan znowu masz słuszość. Ale ten ryk tak jest podobny do głosu... Nieszczególna panu myśl przyszła, pozwól to sobie powiedzieć, żeby iść do zamku Vermunda. Lękam się, aby nam się co złego nie zdarzyło na Szyi Sępa.

— Nie obawiaj się niczego, dopóki jesteś ze mną — odpowiedział Ordener.

— Nic pana nie przestrasza, ale przecież tylko Święty Paweł mógł brać do ręki żmije, nie lękając się ich ukąszenia. Chybaś pan nie zauważył, kiedyśmy wchodzili na tę przeklętą ścieżkę, że na niej zdają się być świeże ślady kroków i że zdeptana trawa nie miała jeszcze czasu podnieść się zupełnie?

— Przyznam się, że mnie to wcale nie uderzyło i że spokój mego umysłu zupełnie nie zależy od większego lub mniejszego stratowania trawy. Wkrótce zresztą wyjdziemy z krzaków i nie będziemy już słyszeli ani chodu, ani ryku zwierząt; wtenczas nie powiem ci już, żebyś zebrał odwagę, ale żebyś skupił siły swoje, droga bowiem po ścieżce, w skałę wykutej, przykrzejszą będzie bezwątpienia, niż ta, po której idziemy.

— Nie jest ona, panie, więcej stromą, ale jak



mówi uczony podróżnik Suckson, zawalają ją często odłamy skał i ciężkie kamienie, których podnieść nie można, a przejść przez nie trudno. Pomiędzy innemi, niedaleko grotu Malaer, do której się zbliżamy, leży ogromna trójkątna bryła granitu, którą bardzo pragnąłem widzieć. Schoening twierdzi, że znalazł na niej trzy rodzaje runicznego pisma pierwotnego...

Idąc już przez pewien czas po nagiej skale, podróżni nasi doszli do rozwalonej wieżyczki, przez którą trzeba było przechodzić. Spiagudry wtedy rzekł do Ordenera:

— Oto właśnie podziemie Malaer. Prowadzący stąd podziemny korytarz, wykuty w żywej skale, bardzo jest ciekawy w wielu szczegółach, dokładnie wykazujących, jak były urządzone starożytne fortyfikacje naszych zamków norweskich. Co zaś do bramy czyli wrót, to mnich Urensus szczególną w tym przedmiocie robi uwagę, a mianowicie: czy słowo *janua*, pochodzące od Janusa, którego świątynia miała tak sławne wrota, nie wyrodziło nazwy janczara, stróża wrót sułtana? Byłoby to bardzo ciekawe, gdyby imię monarchy najłagodniejszego w historii, przeszło do żołdaków najokrutniejszych na całej ziemi.

W czasie uczonej gadaniny dozorecy umarłych, postępowali z trudnością po ruchomych głazach i ostrych krzemieniach, porośłych krótką i ślizgą trawką, jaka niekiedy krzewi się na skałach. Ordener zapomniał o znużeniu na myśl, że zobaczy jeszcze odległy Munkholm, kiedy nagle Spiagudry zawołał:

— Ach! ujrzałem ją! Ten widok wynagradza mi wszystkie moje trudy. Widzę ją, panie, ja ją widzę!

— Kogo?— zapytał Ordener, który myślał właśnie o swojej Etheli.

— Ach! panie, widzę trójkątną piramidę, o której mówi Schoening! Będę, licząc profesora Schoeninga i biskupa Isleifa, trzecim uczonym, który był tyle szczęśliwym, że ją mógł obejrzeć. To jednak szkoda, że tylko przy świetle księżyca.

Zbliżając się do słynnej skały, Spiagudry wydał okrzyk żalu i strachu zarazem. Ordener, zdziwiony, zapytał go z ciekawością, jaki był powód jego nowego wzruszenia, ale dozorca-archeolog przez pewien czas nie mógł przemówić.

— Myślałeś przecie — mówił Ordener — że kamień ten tamuje drogę; powinienes się więc cieszyć, że teraz jest wolną.

— A to właśnie do rozpaczki mnie przyprowadza! — rzekł Benignus żałosnym głosem.

— Jak to?

— Czy pan nie widzisz — odrzekł dozorca — że piramida ta poruszoną została; że podstawa, wznosząca się dotychczas na ścieżce, teraz jest na wierzchu, a skała leży na ziemi właśnie tą stroną, na której Schoening odkrył ślady pierwotnego pisma runicznego?... Jakżem nieszczęśliwy!

— Zapewne, to wielkie nieszczęście — rzekł młody człowiek.

— Lecz dodaj pan do tego — podchwycił żywo Spiagudry — że przewrócenie tej skały świadczy o obecności jakiejś ludzkiej istoty. Jeśli więc tego nie uczynił dyabeł, to w całej Norwegii jeden jest tylko człowiek, którego ramię mogłoby...



— Widzę, kochany przewodniku, że cię znowu przyjmuję twój strach paniczny. Któż wie jednak, czy ten kamień nie leży tak od wieków?

— Jest temu, w samej rzeczy, sto pięćdziesiąt lat, jak go opisał ostatni jego badacz. Zdaje mi się jednak, że został świeżo przewrócony: miejsce, które zajmował, jest jeszcze wilgotne. Patrz pan...

Ordener, któremu pilno było dojść do zwalisk, odciągnął swego przewodnika od osobliwej piramidy i zdołał rozsądnymi słowami rozproszyc nową bojaźń, jaką przejęło uczzonego starca zagadkowe przewrócenie skały.

— Słuchaj, starcze — rzekł — będziesz mógł zamieszkać nad brzegiem tego jeziora i oddać się swym naukowym badaniom, jak tylko otrzymasz tysiąc talarów królewskich, które ci przyniesie głowa Hana.

— Macie słuszość, szlachetny panie: ale nie mów pan z takim lekceważeniem o zwycięstwie nader jeszcze wątpliwem. Muszę panu dać pewną radę, żebyś łatwiej pokonał tego potwora...

Ordener zbliżył się do Spiagudrego.

— Radę? Jaką?

— Rozbójnik ten — mówił dozorca umarłych z cicha i rzucając dokoła siebie niespokojne spojrzenia — nosi u swego pasa czaszkę, z której pije zazwyczaj. Jest to czaszka jego syna, za sprofanowanie zwłok którego jestem niesłusznie ścigany...

— Mów głośniej i nie lękaj się niczego, bo cię zaledwie słyszę. Ta więc czaszka?

— Otóż — rzekł Spiagudry, nachylając się do ucha młodego człowieka — staraj się pan porwać mu tę czaszkę. Przywiązuje on do niej jakieś znaczenie zabobonne. Jak tylko czaszka jego syna dostanie się w pańskie ręce, wtedy będziesz mógł z nim zrobić, co ci się podoba.

— To bardzo dobrze mój zuchu; ale jakże dostać tę czaszkę?

— Przed podstęp, panie, podczas snu tego potwora, może...

Ordener przerwał mu.

— Dosyć — rzekł. — Twoja dobra rada nie może mi być użyteczną, nie powinienem wiedzieć, kiedy śpi mój nieprzyjaciel. Do walki znam tylko mój miecz.

— Panie, panie, nie jest przecie dowiedzione, że archanioł Michał nie użył podstępu, aby pokonać szatana...

Tutaj Spiagudry zatrzymał się nagle i wyciągnawszy przed siebie obie ręce — zawołał głosem prawie zagasłym:

— O nieba! cóż ja to widzę? Patrz pan, mały człowiek idzie po tej samej ścieżce przed nami..

— Na honor — rzekł Ordener podnosząc oczy — nic nie widzę.

— Jak to, nic, panie? Zresztą być może, ścieżka bowiem skręca, a on znikł po za tą skałą. Nie chodźmy dalej, panie, zaklinam cię.

— Ależ, mój kochany, jeśli ten urojony człowiek znikł tak prędko, to widać, że niema zamiaru na nas czekać; jeśli więc ucieka, to po cóż my uciekać mamy?



— Niechaj Opatrzność czuwa nad nami! — rzekł Spiagudry, który we wszystkich niebezpieczeństwach nie zapominał używać tego ulubionego dlań wykrzyknika.

— Przeloty cień przestraszonego puszczyka musiałeś wziąć za człowieka — dodał Ordener.

— Zdaje mi się jednak, że widział małego człowieka; chociaż, co prawda, światło księżyca jest niekiedy powodem dziwacznych złudzeń. Właśnie wskutek tego światła, Baldan, pan na Merneugh, wziął białą firankę łóżka za cień swej matki, co było przyczyną, że nazajutrz wyjawiał swoje matkobójstwo przed sędziami w Chrystyanii, którzy skazali już niewinnego paza nieboszczki. Można by więc powiedzieć, że światło księżyca ocaliło życie temu paziowi.

Nikt nie umiał łatwiej od Spiagudrego zapominać o teraźniejszości dla przeszłości. Wszelkie wspomnienie, nasunięte mu przez jego niezwykłą pamięć, zagłuszało wszelkie wrażenia obecnej chwili. W ten też sposób historia Baldana uspokoiła jego bojaźń. Mówił przeto dalej pewnym głosem:

— Być może, że światło księżyca mnie również omyliło.

Tymczasem dochodzili do Szyi Sępa i ujrzeni nareszcie szczyty ruin, które skały zakrywały przed nimi dopóki wstępowali na górę.

Niechaj to czytelnika wcale nie zadziwia, że tak często napotykały zwałiska na szczytach gór Norwegii. Kto tylko zwiedzał góry w Europie, ten zauważył niewątpliwie resztki fortec i zamków, zawieszonych na wierzchołkach najwyższych szczytów, jakby starożytne

gniazda sępów albo orłów. W Norwegii nadewszystko, w wieku, do któregośmy się cofnęli, tego rodzaju napowietrzne budowle zadziwiała tak swoją różnorodnością, jak i liczebnością. Były to albo zburzone mury fortec, opasujące skałę; albo wysmukłe i śpiczaste wieżycy, wznoszące się na szczycie góry, jak korona; albo nareszcie na wierzchołku góry olbrzymie wieże, otaczające zamek i wyglądające z daleka, jak starożytna tyara. Obok lekkich arkad gotyckich katolickiego klasztoru, można było widzieć ciężkie egipskie filary druckiej świątyni; obok cytadeli, z kwadratowymi wieżycami, jakiego pogańskiego wodza, fortecę z blankami chrześcijańskiego magnata; obok warownego zamku, przez czas zamienionego w gruzy, klasztor zniszczony przez wojnę. Ze wszystkich tych gmachów, będących mieszaniną dziwacznej i nieznannej teraz architektury, wznoszących się śmiało w miejscach napozór niedostępnych, pozostawały tylko szczątki, aby świadczyć niejako o potędze człowieka i jego nicości zarazem. Być może, że w murach tych działały się kiedyś rzeczy godniejsze opowiadania, niż wszystko, co opowiadają na ziemi; ale wypadki przemijają, oczy, co na nie patrzyły, zamykają się, podania zacierają się z latami i gasną nareszcie, jak rozrzucone ognisko,—a wobec tego, kóż zdoła zbadać tajemnicę wieków?

Zamek Vermunda-Banity, dokąd przybyli nasi podróżni, był jednym z miejsc, do których przesady przywiązywały mnóstwo zadziwiających historii i cudownych wydarzeń. Z jego murów z krzemieni i wapna, które stały się twardsze od granitu, można było poznać z łatwością, że zbudowany był w piątym albo szóstym



wieku. Z pięciu wież, jedna tylko stała w całej swej wysokości; cztery inne, mniej więcej rozwalone, gruzami swemi pokrywając wierzchołek skały, łączyły się ze sobą szeregiem zwalisk, wskazującym dawne granice dziedzińców w murach zamku. Przystęp do tego opasania utrudniały gruzy, odłamy skał i krzewy rozliczne, które wspinając się z jednej na drugą ruinę, gałęziami swemi wznosiły się po nad mury, skąd znówu zwieszały aż do przepaści swe giętkie i długie ramiona. Na tych właśnie gałęziach siadały często, jak mówiono, przy świetle księżyca nieszczęsne dusze ludzi, którzy własnowolnie utopili się w Sparbo; albo też do nich dyabeł jeziora przyczepiał chmurę, na której miał odjechać o wschodzie słońca. Strasznych tajemnic tych bywali nieraz świadkami odważni rybacy, kiedy korzystając ze snu psów morskich \*), ośmielali się w nocy dopływać aż do skały Oelmoe, która wśród ciemności wznosiła się łukiem po nad ich głowami, jak oderwana arkada olbrzymiego mostu.

Podróżni nasi przeszli nie bez trudności mur zamkowy przez wyłom, ponieważ dawna brama zawalona była gruzami. Jedyna wieża, która, jak powiedzieliśmy, stała jeszcze, znajdowała się na samym krańcu skały. Z jej to wierzchołka — mówił Spiagudry do Ordenera — można było widzieć latarnię munckholmskiego zamku. Skierowali się więc w tę stronę, aczkolwiek zupełnie się ściemniło. Księżyc skrył się za wielką czarną chmurę. Mieli przejść przez nowy wy-

\*) Rybacy obawiają się psów morskich dlatego, że one płoszą im ryby.

łom w murze, aby się dostać na drugi dziedzińiec zamku, gdy Spiagudry zatrzymał się nagle i chwycił za ramię Ordenera ręką, która drżała tak silnie, że młody człowiek aż się zachwiał.

— Cóż to? — zapytał.

Benignus, nie odpowiadając, silniej jeszcze ścisnął jego ramię, jakby nakazując milczenie.

— Ależ... — odezwał się Ordener.

Nowe ściśnięcie, któremu towarzyszyło nawpół stłumione syknięcie, znagliło go do wyczekania, aż przejdzie ten nowy przystęp bojaźni. Nakoniec Spiagudry odezwał się z cicha.

— No i cóż pan mówisz na to?

— Na co? — zapytał Ordener.

— Tak, panie — mówił dozorca umarłych tym samym tonem — zapewne pan teraz żałujesz, żeśmy tutaj przyszli.

— Wcale nie, mój dzielny przewodniku, spodziewam się nawet, że jeszcze wyżej pójdziemy. Dlaczego miałbym żałować?

— Jakto! Więc pan nie widziałeś?

— Nie rozumiem cię...

— Pan nie widziałeś? — powtórzył zacny uczony z oznakami wzrastającej obawy.

— Doprawdy, że nie! — odparł Ordener zniecierpliwiony — nie nie widziałem i nie słyszałem oprócz twoich zębów, które ze strachu tak gwałtownie o siebie uderzają.

— Po za tym murem, w cieniu... nie widziałeś pan tych dwojga oczu, błyszczących jak komety i na nas skierowanych?

— Na honor, nie.

Han z Islandyi. Tom II.



— Nie widziałeś pan, jak się błakały, zjawiały wyżej, niżej i nareszcie znikły w zwaliskach?

— Zupełnie nie wiem, o czem chcesz mówić; zresztą mniejsza o to.

— Panie Ordener, czy nie wiesz, że w całej Norwegii jeden tylko jest człowiek, którego oczy tak błyszczą w ciemnościach?

— A cóż mnie to obchodzić może? Lecz któż jest ten człowiek z kociemi oczami? Czy to Han, twój straszliwy Han? Tem lepiej, jeśli jest tutaj, oszczędzi nam bowiem drogi do Walderhoga.

To „tem lepiej“ zupełnie nie przypadło do gustu Spiagudremu, który swoją myśl tajemną wyjawiał mimowolnym wykrzykiem.

— Ach! panie, obiecałeś przecie zostawić mnie we wsi Surb, o milę od miejsca walki.

Dobry i szlachetny Ordener zrozumiał to i uśmiechnął się.

— Masz słusność, starcze; byłoby niesprawiedliwością z mej strony, gdybym narażał cię na niebezpieczeństwo. Zdaje ci się, że wszędzie widzisz tego Hana z Islandyi. A czy w tych zwaliskach nie może się ukrywać jaki kot dziki, którego oczy błyszczą tak, jak i Hana?

Piąty już raz Spiagudry zdołał się uspokoić, czy to wskutek tego, że wyjaśnienie Ordenera zdawało mu się naturalnem, czy też, że spokój młodego towarzysza i jemu się udzielał.

— Bez pana jużbym dziesięć razy był umarł, wdrapując się na te skały. Chociaż znowu, gdyby nie pan, nawetbym o nich nie pomyślał.

Księżyc wypłynął z po za chmury, mogli więc widzieć wejście do najwyższej wieży, u stóp której właśnie się znajdowali. Weszli przeto do niej, usuwając gęste sploty bluszczu, z którego, jak deszcz, posypały się jaszczurki i opuszczone gniazda nocnych ptaków. Dózorca umarłych, wziawszy dwa krzemienie i uderzając jeden o drugi, rzucił kilka iskier na gromadkę suchych liści i gałęzi, zebranych przez Ordenera. Wkrótce rozniecili ogień, który rozpraszając ciemności, pozwolił im rozpatrzyć wnętrze wieży.

Pozostały z niej tylko grube mury, pokryte bluszczem i mchami. Sufity jej czterech piątr zapadały się stopniowo na dół, tworząc stos gruzów. Schody wąskie i bez poręczy, bez stopni w wielu miejscach, szły wężem, przyczepione do zewnętrznej strony muru i kończyły się u szczytu. Na pierwsze błyski ognia, chmary puszczyków i orłów zerwały się ciężko z żałością krzykiem, a wielkie nietoperze przelatywały, co chwila dotykając płomieni swemi popielatemi skrzyłami.

— Gospodarze tych ruin niezbyt nas wesoło przyjmują — zauważył Ordener — nie przestrasza cię to znowu?

— Ja, panie — odparł Spiagudry, siadając przy ognisku — ja miałbym się obawiać sów, albo nietoperzy? Żyłem z trupami, a nie bałem się wampirów. Lękam się tylko żyjących. Nie mam odwagi, przyznaję, ale za to wcale nie jestem zabobonnym. Wiesz pan co: śmiejmy się z tych pań czarnoskrzydłych i dzikich ich wrzasków, a pomyślmy lepiej o wieczery.

Ordener marzył tylko o Munkholmie.



— Mam trochę zapasów — mówił Spiagudry, wydobywając z pod płaszcza zawiniątko — jeśli jednak masz pan taki, jak ja, apetyt, to ten chleb i ser znikną niezadługo. Widzę, że musimy zostać daleko od prawa króla francuskiego Filipa Pięknego: *Nemo audeat comedere praeter duo fercula cum patagio*. Na szczycie tej wieży muszą być gniazda mew albo bażantów; ale jakże tam dojść po chwiejących się schodach, po którychby tylko Sylfy chodzić mogły?

— Zdołają jednak i mnie utrzymać — rzekł Ordener — chcę bowiem dostać się na szczyt tej wieży.

— Jaktóż panie, dla gniazda mew?... O! nie bądźże pan tak nieroztropnym! Nie wypada narażać życia, aby mieć lepszą wieczerzę. Zastanów się pan przytem, że możesz się pomylić i wziąć gniazda orłów za gniazda mew...

— Wcale mi o twoje gniazda nie chodzi. Czy nie mówiłeś mi, że z wierzchołka tej wieży widać zamek munckholmski?

— To prawda, panie, na południe. Widzę teraz, że pragnienie oznaczenia tego ważnego punktu dla nauki geografii było powodem naszej nużącej podróży do zamku Vermunda. Chciej się jednak zastanowić, szlachetny panie Ordenerze, że może być niekiedy obowiązkiem gorliwego uczonego narażać się na trudy, ale nigdy na niebezpieczeństwo. Błagam więc, nie chodź po tych rozwalonych schodach, na których kruk bałby się zawiesić.

Benignus wcale nie miał ochoty pozostać na dole wieży. W chwili, kiedy powstawał, aby ująć za rękę

Ordenera, zawiniątko, leżące na jego kolanach, upadło na kamienie, wydając głośny dźwięk.

— Cóż to tak dzwoni w tem zawiniątku? — zapytał Ordener.

Tak drażliwe zapytanie odebrało Spiagudremu chęć dalszego zatrzymywania młodego towarzysza.

— Ha! — rzekł, nie odpowiadając na to pytanie — skoro pomimo moich prośb, upierasz się pan koniecznie, aby wejść na tę wieżę, to strzeż się przynajmniej mnóstwa dziur na schodach.

— Ale co masz takiego w twojem zawiniątku — nie ustępował Ordener — co wydaje dźwięk metaliczny?

Niedyskretne to natręctwo wielce nie podobało się staremu dozorey umarłych, który pytającego przeklinał w duszy.

— Szlachetny panie — odrzekł — jak pan możesz zajmować się nędznym półmiskiem z metalowymi brzegami, który zadzwieczał, uderzając o kamienie? Ponieważ zaś nie mogę pana zmiękczyć — pośpieszył zaraz dodać — to przynajmniej powracaj pan spieszenie, a idąc, trzymaj się bluszczów, pokrywających ściany. Latarnię Munckholmu zobaczysz pan między dwoma Stołkami Friggi, na południe.

Spiagudry nie mógłby być nic zręczniejszego wynaleźć, aby wszelką inną myśl wyrugować z głowy młodego człowieka.

Ordener, zrzućwszy płaszcz, poskoczył na schody, a dozorca umarłych prowadził za nim oczami, dopóki nie ujrzał go przesuwającego się, jak cień, u szczytu muru, słabo oświeconego przez niepewne błyski



ogniska i blade promienie księżyca. Wówczas siadając i podnosząc swoje zawinięcie, mruknął do siebie:

— Kochany Benignusie Spiagudry, kiedy oczy tego młodego ostrowidza nie patrzą na ciebie i dopóki sam jesteś, rozbij spiesźnie fatalną szkatułkę, która nie pozwala ci wejść w posiadanie, *oculi et manu*, skarbu, jaki bezwątpienia w sobie zawiera. Po wydobyciu z tego więzienia, będzie i lżejszy, i łatwiejszy do ukrycia.

Uzbroiwszy się w wielki kamień, brał się już do rozbicia wierzchu szkatułki, kiedy promień światła, padając na żelazną pieczęć, która ją zamykała, wstrzymał nagle jego zamiar.

— Na Świętego Willebroda Numizmatyka! nie myślę się—zawołał obcierając żywo wierzch szkatułki—to herb Griffenfeldów. Byłbym popełnił ogromne głupstwo, rozbijając tę pieczęć. To może jedyny model tego sławnego herbu, zgruchotanego w r. 1676 ręką kata. Do dyabła! nie dotykajmy się tego wierzchu. Jakąkolwiek miałyby wartość przedmioty, mieszczące się w tej szkatułce, chyba, że to są monety z Palmiry, albo medale kartagińskie, o czem wątpię, to zawsze będą mniej od niej warte. Jestem więc jedynym posiadaczem zniesionego obecnie herbu Griffenfeldów. Ukryjmy starannie ten skarb. Znajdę zapewne sposób, aby otworzyć tę szkatułkę, nie dopuszczając się wandalizmu. Herb Griffenfeldów! O tak! oto dłoń sprawiedliwości na czerwonym polu... Co za szczęście!

Po każdym nowem heraldycznym odkryciu, jakie czynił wycierając rdzę ze starej pieczęci, wydawał okrzyk radości lub zdziwienia.

— Zdołam przecie otworzyć zamek, nie nadwyrężając pieczęci. Muszą to być skarby byłego kancle-rza. Gdyby ktoś, ułakomisz się na cztery talary syndyka, poznał mnie i zatrzymał, wtedy nietrudno mi będzie wykupić się. Tak zaiste, ta błogosławiona szkatułka musi mnie ocalić...

Mówiąc to, mimowoli zwrócił oczy przed siebie i nagle na jego pociesznej twarzy wyraz radości zamienił się w mgnieniu oka w trwożliwe osłupienie. Wszystkie jego członki zadrżały, czoło okryło się zmarszczkami, usta rozwarły się szeroko, a głos zagasł w gardle, jak zdmuchnięte światło.

Naprzeciw niego, z drugiej strony ogniska, stał człowiek niskiego wzrostu, z założonemi na piersiach rękoma. Z okrywających go skór skrwawionych, z kamiennej siekiery, rudej brody i z dzikiego spojrzenia, nieszczęśliwy dozorca umarłych poznał odrazu swego strasznego gościa w drontheimskim Spladgescie.

— To ja!—rzekł ów mały człowiek z okropnem spojrzeniem ironicznie.—Ta szkatułka ocali cię? Spiagudry! czy to tędy droga do Thoctree?

Nieszczęśliwy uczony zdołał zaledwie wyjąkać słów kilka:

— Thoctree!... panie... panie mój... szedłem tam...

— Szedłeś do Walderhoga — przerwał nieznanomy głosom do grzmotu podobnym.

Przestraszony Benignus zebrał wszystkie siły, ażeby głową dać znak przeczący.

— Sprowadziłeś na mnie nieprzyjaciela,—dziękuję ci! Będzie jednym mniej żyjącym. Nie lękaj się, wierny przewodniku, pójdzie on za tobą.



Zgnębiony Spiagudry chciał krzyknąć, ale zdołał zaledwie wydać jęk słaby i niepewny.

— Dlaczego się mnie boisz? Szukałeś mnie przecie. Nie krzycz, albo zginiesz natychmiast.

Mały człowiek wstrząsnął swą kamienną siekierą po nad głową dozorey umarłych, poczem mówił dalej głosem, który wychodził z jego piersi, jak łoskot potoku wychodzi z jaskini:

— Zdradziłeś mnie? No, przyznaj — zdradziłeś mnie?

— O nie! wasza łasko, nie ekscelencyo...—rzekł wreszcie Benignus, wymawiając z trudnością te błagalne słowa.

Nieznajomy wydał głuchy ryk.

— Chciałbyś mnie znowu oszukać? Już ci się to nie uda. Słuchaj, byłem na dachu Spladgestu, kiedyś zawierał umowę z tym szaleńcem; mój to głos słyszałeś dwukrotnie. Mnie również słyszałeś na drodze w czasie burzy, ja to byłem w wieży Vygla i ja powiedziałem ci: *do widzenia!*...

Przejęty strachem, Spiagudry rzucał dookoła błędne spojrzenia, jakby chciał wołać pomocy. Mały zaś człowiek mówił dalej:

— Nie chciałem, żeby mi się wymknęli ścigający cię żołnierze. Byli oni z munckholmskiego pułku. O ciebie byłem spokojny. Spiagudry, mnie to widziałeś we wsi Oelmoe w kapeluszu górniczym; idąc do tych zwalisk, moje słyszałeś kroki i głos, i moje ujrzałeś oczy... Spiagudry—to ja!

Spiagudry aż nadto był tego pewny; rzucił się przeto do nóg strasznego sędziego, wołając głosem rozdzierającym i stłumionym:

— Łaski!...

Mały człowiek patrzył nań wzrokiem krwawym i bardziej palącym, niż płomień ogniska.

— Proś tej szkatuły o ocalenie, którego się od niej spodziewasz — rzekł szydlerczo.

— Łaski, panie!... Łaski!—powtórzył Spiagudry tracąc niemal prztomność.

— Kazałem ci być wiernym i milczeć — nie umiałeś być wiernym; na przyszłość ręczę, że milczeć będziesz.

Dozorca umarłych, odgadując myśl, zawartą w tych strasznych słowach, jęknął boleśnie.

— Nie obawiaj się — dodał mały człowiek — nie rozłączę cię z twoim skarbem.

Po tych słowach, odwinawszy swój pas skórzany, przeciągnął go przez ucho szkatułki i zawiesił ją na szyi Spiagudrego, który ugiął się pod jej ciężarem:

— No dalej — mówił — któremu z szatanów chcesz powierzyć duszę swoją? Wzywaj go spiesźnie, ażeby go inny szatan nie uprzedził.

Nieszczęśliwy starzec, nie będąc w stanie wymówić słowa, padł na kolana, z oznakami błagania i przestachu.

— Nie, nie — rzekł mały człowiek — niema dla ciebie przebaczenia. Ale posłuchaj mnie, wierny Spiagudry, nie martw się tem, że swego młodego towarzysza zostawisz bez przewodnika. Przyrzekam ci, że i on pójdzie tam, gdzie ty teraz idziesz. Chodź za mną: ty mu tylko drogę wskażesz. No, dalej!



I porwawszy nieszczęśliwego w swe żelazne ramiona, wyniósł go z wieży podobny do tygrysa, unoszącego długiego węża, a w chwilę potem, rozległ się w zwaliskach przerażający krzyk, z którym złączył się odgłos straszliwego śmiechu.



## IX

Tak, zażawionemu oku wiernego kochanka można pokazać oddalony przedmiot jego uwielbienia. Ale niestety! któż zdoła powrócić chwile oczekiwania... pożegnania... myśli i czarowne marzenia kochających się istot?

*Maturin „Bertram.“*

Ordener, dwadzieścia razy blizki upadku w przepaść przy swem niebezpiecznem wdrapywaniu się, dotarł nareszcie do wierzchołka grubego i kolistego muru wieży. Po jego niespodziewanem przybyciu, stuletnie czarne puszczyki, zaniepokojone w swych zwaliskach, zrywały się ukośnym lotem, spoglądając na niego złowrogo, a ruchome kamienie, strącone jego nogą, staczały się na dół, uderzając po sterczących skałach z głuchym i rozlegającym się daleko łoskotem.

W innym czasie, Ordener rozglądałby się długo w ziejącej pod jego stopami, głębokiej przepaści, straszniejszej jeszcze wśród ciemności nocy. Jego oko, badając na horyzoncie olbrzymie cienie, których słabe zarysy lekko srebrzyło posępne światło księżyca, z trudnością mogłoby rozróżnić wyziewy mgliste od skał, i góry od chmur; jego wyobraźnia ożywiłaby zapewne te olbrzymie kształty i wszystkie fantastyczne złudzenia, które światło księżyca rysuje na górach i mgłach;



słuchałby dalekich jęków jeziora i lasów, zmieszanych z ostrym świstem wiatru, poruszającego uschłe trawy w szparach kamieni; jego duch obdarzyłby mową te wszystkie głosy tajemnicze, które natura wydaje podczas snu człowieka i nocnej ciszy. Ale teraz inne zajmowały go myśli. Gdy stanął na szczycie wieży i gdy jego oczy zwróciły się na południe, niewypowiedziana radość przeniosła go po za góry, do światełka, błyszczącego w oddali, jak czerwona gwiazda. Była to latarnia munckholmskiego zamku.

Niepojmujący szczęścia, jakiego doznawał młodzieniec, niezdolni są też odczuwać prawdziwych rozkoszy życia. Jego serce wezbrało uniesieniem, a piersi oddychały zaledwie. Nieruchomy, z wytężonem okiem, wpatrywał się w gwiazdę pociechy i nadziei. Zdało mu się, że ten promień światła, dążący wśród nocy z miejsca w którym się znajdowało całe jego szczęście, przynosił mu cząstkę jego ukochanej Etheli.

Bo nie wątpmy, że przez czas i odległość, dusze tajemniczo ze sobą rozmawiają. Naprózno świat materialny stawia granice między dwiema kochającemi się istotami; zamieszkując krainy idealne, zjawiają się one obok siebie duchowo i łączą w śmierci. Cóż bowiem może znaczyć rozłączenie, odległość fizyczna, dla dwojga serc nierozzerwalnie związanych jedną myślą i wspólnem pragnieniem? Prawdziwa miłość może cierpieć, ale nie umiera.

Któż przynajmniej sto razy podczas ciemnych nocy nie stawał pod okienkiem nawpół oświetlonem? Kto nie przechodził pod drzwiami, nie błądził z rozkoszą około domu? Kto nie zwrócił się nagle ze swej dro-

gi, aby podążyć wieczorem, po zakrętach pustej uliczki, za powiewającą suknią, za białym woalem, który się zjawił niespodzianie w ciemnościach? Kto nie doznał tych wzruszeń,—ten śmiało powiedzieć może, że nigdy nie kochał.

Patrzac na odległą latarnię Munckholmu, Ordener pogrążył się w zamyśleniu. Po pierwszej radości, nastąpiło zadowolenie smutne i ironiczne; tysiące różnorodnych uczuć cisnęło się do jego wzburzonej duszy.

— Tak jest — mówił do siebie — człowiek długo i z trudnością wdzierać się musi na górę, aby ujrzeć punkcik szczęścia w niezmierzonej nocy. Ona jest tam!... śpi, marzy, a może o mnie myśli... Ale któż jej powie, że jej Ordener, samotny i smutny, stoi teraz w ciemnościach po nad przepaścią?... Ordener, który od niej ma tylko na swoim łonie promień jej włosów i niepewne światelko na horyzoncie!

Później, rzucając okiem na czerwone promienie ogniska, płonącego w wieży, które wydobywały się na zewnątrz przez szczeliny muru, wyszeptał:

— A może ona z okna swego więzienia rzuca obojętne spojrzenie na dalekie światelko tego ogniska...

W tej chwili, jakby pod nim, na brzegu przepaści, rozległ się krzyk i wybuch śmiechu; odwrócił się więc nagle i wewnątrz wieży ujrzał pustem zupełnie. Wówczas, niespokojny o starca, spiesźnie zaczął schodzić, ale zaledwie kilka przeszedł schodów, kiedy nagle doszedł aż do niego głuchy łoskot, podobny do odgłosu, jaki wydaje ciężkie ciało, wpadając do głębokiej wody.



## X

Hrabia don Sancho Diaz, pan na Saldana, wylewał gorzkie łzy w swoim więzieniu.

Pełen rozpacz, wynurzał w samotności swoje skargi na króla Alfonsa:

— O smutne chwile, w których moje białe włosy przywodzą mi na myśl, ile już lat spędziłem w tem straszliwym więzieniu!

Romans hiszpański.

Gniew nieprzyjaciela czyni mnie śmiałym i niezachwianym; ale wymówki przyjaciela napełniają mnie bojaźnią.

*Abutthayyb*, poeta arabski.

Słońce zachodziło, jego ostre promienie rysowały na wełnianej szacie Schumackera i żałobnej sukni Etheli czarny cień kraty więziennego okna.

Siedzieli oni oboje przy wysokiej arkadzie okna, starzec w wielkim fotelu gotyckim, dziewczica na taborecie, u jego nóg. Więzień zdawał się być pogrążony w swoim melancholijnem, zwykłym marzeniu. Jego czoło, łysa i zmarszczkami pokryta, oparte było na dłoniach, z całej twarzy można było widzieć tylko siwą brodę, spadającą w nieładzie na jego piersi.

— Mój ojcie — rzekła Ethel, starając się go zerwać — panie mój i ojcie, dzisiejszej nocy miałam sen szczęśliwej przyszłości... Patrz, podnieś swe oczy, szlachetny ojcie, spojrzysz na to piękne niebo.

— Widzę niebo — odpowiedział starzec — tylko przez kraty mego więzienia, jak na twą przyszłość, Ethelo, patrzę przez zasłonę własnych mych nieszczęść. Po tych słowach, głowa jego, podniesiona przez chwilę, opadła znów na dłonie i oboje zamilkli.

— Mój ojcie i panie — odezwała się po chwili dziewczica nieśmiałym głosem — czy myślisz o Ordenerze?

— O Ordenerze? — powtórzył starzec, jakby starając się przypomnieć sobie, o kim ona mówi. — Ach! wiem o co zapytujesz. Więc?

— Czy sądzisz, mój ojcie, że on prędko powróci? Tak dawno pojechał. Dziś już czwarty dzień. Starzec smutno pokiwał głową.

— Zdaje mi się, że kiedy będziemy liczyli czwarty rok po jego odejściu, to równie jak i dzisiaj, będziemy blisko jego powrotu.

— O mój Boże! czyż sądzisz, ojcie, że on nigdy nie powróci?

Schumacker nie odpowiedział. Młoda dziewczica powtórzyła swe zapytanie głosem błagalnym i drżącym.

— Czy nie przyrzekł, że powróci? — rzekł nagle więzień.

— O tak, panie — odparła spiesźnie Ethela.

— A więc, jakże możemy liczyć na jego powrót? Czy on nie jest człowiekiem? Wierzę, że sęp może powrócić do trupa, ale nie wierzę w powrót wiosny w kończącym się roku.



Ethel, widząc swego ojca wpadającego w melancholię, uspokoiła się nieco; w jej dziecięcym i dziewiczym sercu odzywał się głos zwyczajnie zbijający smutną filozofię starca.

— Mój ojcie — rzekła upewniająco — Ordener powróci; on nie taki, jak inni ludzie.

— Skądże to wiesz, moja córko?

— Ty sam wiesz o tem, ojcie mój i panie.

— Nic o tem nie wiem — rzekł starzec. — Słyszałem od niego słowa człowieka, które mi zapowiadały czyny wielkie i zbożne.

Później dodał z gorzkim uśmiechem:

— Zastanawiałem się nad niemi i znalazłem, że jego słowa były za piękne, aby w nie wierzyć można.

— A ja, panie, wierzyłam w nie właśnie dlatego, że były tak piękne.

— O! moje dziecko, gdybyś była tem, czem być powinnaś, to jest hrabianką Tonsberg i księżniczką Wollin, otoczoną przez cały dwór układnych zdrajców i interesownych wielbicieli, wtedy twa łatwowierność bardzo by ciębie była niebezpieczną.

— Ojcie mój, to nie łatwowierność, ale zaufanie.

— Łatwo z tego odgadnąć, Ethelo, że część francuskiej krwi płynie w twoich żyłach.

Myśl ta niepostrzeżenie wprowadziła starca na drogę wspomnień, mówił przeto dalej z pewną przyjemnością:

— Ci, co zepchnęli twego ojca z najwyższych dostojęństw w nędzę poniżenia, muszą jednak przyznać, że jesteś córką Karoliny, księżniczki Tarentu, i że

jedna z twoich prababek, których nosisz imię, Adela czyli Edela, była hrabiną Flandryi.

Ethel myślała o czem innem.

— Mój ojcie — rzekła — źle sądzisz szlachetnego Ordenera.

— Szlachetnego, moja córko? A jaką myśl nadajesz tym słowom? Ogi nadawałem szlachectwo ludziom, którzy wcale nie byli szlachetni.

— Nie mówię tego, aby on był szlachetny tem szlachectwem, jakie się nadaje.

— Wiedziałażbyś, że pochodzi od *jarla* albo *hersy*? <sup>1)</sup>.

— Równie o tem nie wiem, jak i ty, mój ojcie. I może być bardzo — mówiła dalej spuszczać oczy — że jest synem chłopca albo wazala. Malują przecie korony na aksamicie stopni powozu. Chcę tylko powiedzieć, że on jest sercem szlachetny.

Ze wszystkich ludzi, jakich Ethel widziała, Ordener był tym właśnie, którego znała najwięcej i najmniej zarazem. Stał on na drodze jej życia, jak aniołowie, odwiedzający pierwszych ziemi mieszkańców, otoczeni światłością i tajemnicą. Sama ich obecność mówiła, czem oni są, uwielbiano ich przeto. Ordener pozwolił Etheli widzieć to, co ludzie najbardziej ukrywają, to jest swoje serce; zamlecał o tem, z czego się chlubią chętnie—o swem pochodzeniu i rodzinie. Spojrzenie Ordenera dostatecznem było dla Etheli i dlatego

<sup>1)</sup> Dawni magnaci norwescy, zanim Griffenfeld wprowadził szlachectwo na zasadach gdzieindziej przyjętych, nosili tytuły *jarl* (hrabia) i *hersa* (baron).



wierzyła jego słowom. Kochała go, oddała mu swoje życie, знаła całą jego duszę, a nie znała jego nazwiska.

— Szlachetny sercem! — powtórzył starzec. — Szlachetność ta wyższą jest od szlachectwa, przez królów nadawanego: daje ją Bóg. Ale w tem mniej od nich jest rozrzutny...

Tutaj więzień spojrzał na zgruchotany herb swój, dodając z boleścią:

— I nigdy jej nie odbiera.

— Tak więc, mój ojcze — rzekła młoda dziewczina — kto zachował pierwszą, łatwo się może pocieszyć, choć drugie utracił.

Słowa te przejęły starca dreszczem i wróciły mu całą jego odwagę. Rzekł przeto pewnym głosem:

— Masz słusność, moje dziecko. Ale o tem nie wiesz, że niełaska, uznana przez świat za niesprawiedliwą, znajduje niekiedy usprawiedliwienie w naszym sumieniu. Taka już jest ludzka natura: jak tylko jesteśmy nieszczęśliwi, wtedy w nas samych odzywa się głos, wyrzucający nasze błędy i uchybienia; głos, który milczał w czasach pomyślności.

— Nie mów tak, dostojny ojcze — rzekła Ethel głęboko wzruszona, gdyż po drżącym głosie starca poznała, że mimowolnie ujawniła tajemnicę jednej z jego boleści.

Spojrzała potem na niego, a całując jego rękę zimną i pomarszczoną mówiła słodko:

— Zbyt surowo, ojcze, sądzisz dwóch szlacheckich ludzi: siebie i Ordenera.

— Ty zaś wyrokujesz zbyt lekkomyślnie Ethelo! Możliwyby mniemać, iż nie wiesz, co to jest życie.

— Czy źle uczyniłam, oddając sprawiedliwość szlachetnemu Ordenerowi?

Schumacker zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

— Nie mogę cię pochwalić, moja córko, że wciąż głosisz swoje uwielbienie dla nieznajomego, którego już bezwątpienia nigdy nie zobaczysz!

— Och! — rzekła młoda dziewczina, na którą te zimne słowa spadały jak ciężkie brzemie — nie mów tak, mój ojcze. Zobaczymy go jeszcze. Czy nie dla nas udał się w tę podróż? Czy nie dla nas naraża się na niebezpieczeństwa?

— Wyznaję, że z początku, równie jak i ty, uwierzyłem w jego obietnicę. Ale nie — on nigdzie nie pójdzie, a zatem i do nas nie powróci.

— Pójdzie, ojcze, pójdzie.

Młoda dziewczina wymówiła to z pewną urazą. Zwątpienie o uczciwości i dobrej woli Ordenera dotknęło ją.

Więzień jednak wciąż trwał w sceptycznym usposobieniu.

— Chociażby nawet pokonał owego rozbójnika — zaprzeczył z uporem — i nie cofnął się przed żadnem niebezpieczeństwem, to jestem przekonany, że nie wróci.

Biedna Ethel! Jakże ciężko jedno słowo, wypowiedziane nieopatrznie, dotknąć może serce niespokojne i obawy pełne. Pochyliła głowę, ażeby ukryć przed zimnem spojrzeniem ojca twarz swą bladą i łzy z oczu płynące.

— Mój ojcze — szepnęła — w chwili, kiedy tak o nim sądzisz, ten szlachetny człowiek może umiera dla ciebie.



Stary minister wstrząsnął głową na znak po wątpiewania.

— Ani w to wierzę, ani tego pragnę. Zresztą, czy wątpliwość moją można nazwać występkiem? Oka- załbym się tylko względem tego młodzieńca tak nie- wdzięcznym, jak tylu innych niewdzięcznymi okazało się względem mnie.

Głębokie westchnienie zastąpiło odpowiedź Etheli; Schumacker zaś, nachyliwszy się nad swoim biurkiem, przerzucał z roztargnieniem karty *Zyciorysów sławnych ludzi* Plutarcha. Była ta księga zniszczona częstem użyciem, a jej marginesy zapełniały liczne uwagi więźnia.

W chwilę potem dał się słyszeć odgłos otwiera- jących się drzwi. Schumacker, nie odwracając się, zawołał, jak zwykle:

— Proszę mnie zostawić w spokoju; niechaj nikt nie wchodzi.

— To jego ekscelencya pan gubernator—odezwał się głos odzwierne go.

I w samej rzeczy, przed Schumackerem, który nawpół się podniósł z fotelu, stanął starzec w jenera- lskim mundurze, z łańcuchami Słonia, Danebrogą i Zło- tego Runa na szyi, oraz z mnóstwem zagranicznych orderów na piersiach.

— Gubernator! gubernator! — powtórzył z cicha Schumacker.

Lewin Knud skłonił się z uszanowaniem Etheli, która stojąc obok ojca, spoglądała na niego z obawą.

Tu należy przypomnieć powody przybycia jene- rała Lewina do Munkholmu.

Wiemy, że zacnego gubernatora doszły pogłoski, które go mocno poruszyły. Aczkolwiek uwierzyć im nie mógł, uważał za właściwe wybadać Schumackera, gdyż jego głównie dotyczyły. Zdobył się na krok ten z prawdziwym wstrętem. Myśl niepokojenia nieszczęś- liwego więźnia, i tak już przygnębionego cierpieniem moralnem, surowe badanie tajemnic nieszczęścia, choćby występne go nawet, nie zgadzało się z jego dobrem i szlachetnem sercem. Jednakże obowiązki urzędu wymagały tego; nie powinien był opuszczać Drontheimu nie otrzymawszy wyjaśnień od mniemanego sprawcy powstania górników. W przeddzień tedy swego wy- jazdu, po długiej i poufnej rozmowie z hrabiną Ahle- feld, zdecydował się na odwiedzenie więźnia. Prze- jęcie się sprawami kraju, myśl o tem, jakie korzyści jego liczni nieprzyjaciele mogą odnieść zarzucając mu niedbalstwo, a może i podstępne słowa wielkiej kan- celerzyny, burzyły się w jego głowie i sprawiły, że udał się do zamku z silnem postanowieniem. Wszedł więc do wieży Lwa Szlezwiskiego z zamiarem surowości; przyrzekał sobie traktować spiskującego Schumackera, jakby nigdy nie znał kanclerza Griffenfelda, wyzuć się ze wszystkich wspomnień i przemawiać jak nieugięty sędzia do dawnego spółtowarzysza w łaskach i zna- czeniu.

Tymczasem zaledwie wszedł do komnaty byłego kanclerza, poważne choć ponure oblicze starca wzru- szyło go, a więcej go jeszcze wzruszyła łagodna choć dumna twarz Etheli; sam widok dwojga uwięzionych nawpół rozproszył jego surowość.

Zbliżył się do upadłego ministra i przemawiając,



podał mu dłoń, nie zauważywszy nawet, że ten nie odpowiedział na jego grzeczność:

— Witam was, hrabio Griffen...

Była to pomyłka skutkiem dawnego przyzwyczajenia, poprawił się więc spiesźnie, dodając:

— Witam was, panie Schumacker.

Poczem zatrzymał się, zadowolony i wyczerpany swoim wysileniem.

Nastąpiła chwila milczenia. Jenerał szukał w swej głowie słów dość surowych, które byłyby właściwymi wobec obojętnego zachowania się więźnia.

— A więc — rzekł nakoniec Schumacker — pan to jesteś gubernatorem Drontheimhuusu?

Jenerał zdziwiony, że mu zadawał pytanie człowiek, którego właśnie przyszedł badać, skinął przytwierdzająco głową.

— W takim razie — mówił dalej więzień. muszę zanieść skargę do pana.

— Skargę! Jaką? — zapytał Lewin Knud z zainteresowaniem.

Schumacker odpowiedział cierpko:

— Według rozkazu wice-króla, powinienem być wolny i spokojny w tej wieży.

— Znam ten rozkaz.

— A więc, panie gubernatorze, pozwalają sobie niepokoić mnie, wchodzić do mego więzienia.

— Wymień pan tego, który się ośmiela? — zawołał jenerał. — Któż to taki?

— Wy, panie gubernatorze.

Słowa te, wypowiedziane wyniosłe, dotknęły jenerała. Odparł przeto prawie z gniewem:

— Zapominasz pan, że moja władza, kiedy spełniam moje obowiązki, nie zna żadnych granic.

— Oprócz uszanowania należnego nieszczęściu — rzekł Schumacker. — Ale ludzie nie znają się na tem.

Ostatnie słowa były wielki kanclerz wyrzekł tak, jakby mówił do siebie samego. Gubernator usłyszał go jednak.

— To prawda, to prawda! Przepraszam was, hrabio Griff... panie Schumacker, chciałem powiedzieć; powinienem zostawić panu prawo gniewania się, skoro sam mam władzę.

Schumacker milczał przez chwilę.

— Jest coś — rzekł nareszcie — w waszej twarzy i w waszym głosie, panie gubernatorze, co mi przypomina człowieka, którego znałem kiedyś. Bardzo to już dawno. Ja tylko pamiętać o tem mogę. Było to w czasach mojej pomyślności. Człowiek ten nazywał się Lewin Knud z Meklemburga. Czy nie znałeś pan tego szaleńca?

— Znałem go — odparł jenerał.

— A! przypominasz go pan sobie. Sądziłem, że pamięta się o ludziach wtedy tylko, kiedy się doznaje przeciwności losu.

— Wszak on był kapitanem gwardyi królewskiej? — zapytał jenerał.

— Tak jest, prostym kapitanem, chociaż król lubił go bardzo. Ale on nie okazywał zbytnej ambicji. Była to szalona głowa. Bo czy można pojąć umiarkowanie żądań w ulubieńcu króla?

— Dlaczego nie?

— Lubilem tego Lewina Knud, nie potrzebowa-



łem bowiem obawiać się go. Uważał się on przyjacielem króla, jak każdego innego człowieka; był do niego przywiązany zupełnie bezinteresownie.

Jenerał chciał przerwać Schumackerowi, ten jednak mówił dalej z pewnym uporem, czy to przez ducha przeciwności, czy też dlatego, że wspomnienie to przyjemnem dlań było wistocie:

— Skoro pan znałeś kapitana Lewina, panie gubernatorze, musisz wiedzieć, że miał on syna, który umarł bardzo młodo. Ale czy pan przypominasz sobie — co zaszło przy urodzeniu owego syna?

— Lepiej pamiętam śmierć jego — odparł jenerał drżącym głosem, zasłaniając oczy ręką.

— Jest to fakt — mówił obojętnie Schumacker — znany przez niewiele osób, a malujący dokładnie całe dziwactwo Lewina. Król chciał trzymać do chrztu jego dziecię. Czy pan uwierzysz, że Lewin odmówił? Gorzej nawet: na ojca chrzestnego dla swego syna wybrał starego żebraka, stojącego zwykle u bram pałacu. Nie mogłem nigdy odgadnąć przyczyny tego szaleństwa.

— Powiem ja panu — rzekł jenerał. — Wybierając protektora dla duszy swego syna, kapitan Lewin sądził zapewne, że wobec Boga, biedny żebrak więcej znaczy niż król.

Schumacker, zastanowiwszy się przez chwilę, rzekł:

— Masz pan słuszość.

Gubernator chciał rozmowę wprowadzić na przedmiot swoich odwiedzin, Schumacker jednak powstrzymał go.

— Jeśli to prawda, że pan znasz Lewina z Me-

klemburga, to pozwól mi o nim mówić. Ze wszystkich ludzi, których znałem w czasach swej wielkości, wspomnienie tylko o nim jednym nie budzi we mnie wstrętu i odrazy. Chociaż dziwactwa swoje posuwał do szaleństwa, to jednak wskutek swoich szlachetnych przymiotów, był on człowiekiem, jakich nie wielu znaleźć można.

— Ja tak nie sądzę. Lewin był, jak inni ludzie. Mnóstwo nawet jest takich, co od niego są więcej warci.

Schumacker skrzyżował ręce, wznosząc oczy do góry.

— Tacy oni wszyscy! Nie można wobec nich chwalić człowieka szlachetnego, bo natychmiast starają się go oczernić. Przyjemność nawet słusznej pochwały zatrzeć usiłują. A jednak jest ona tak rzadką!

— Gdybyś mnie pan znał, nie zarzucałbyś mi, że chcę oczernić jen... to jest kapitana Lewina.

— Daruj pan — rzekł więzień — ale pod względem prawości i szlachetności, nie było nigdy człowieka równego Lewinowi Knud. Utrzymywać przeciwnie jest to zarazem spotwarzać i nad miarę chwalić przekłętą ród ludzki.

— Ależ zaręczam panu — uśmiechnął się gubernator, starając się uspokoić Schumackera — że nie miałem nigdy przeciw Lewinowi Knud żadnej złej intencji...

— Nie mów pan tego. Chociaż był szaleńcem, nikt jednak nie zdołał wyrównać mu szlachetnością. Ludzie są fałszywi, niewdzięczni, zawistni, potwarczy. Czy pan



wiesz, że Lewin Knud dawał na szpitala w Kopenhadze więcej niż połowę swego dochodu?

— Nie przypuszczałem, abyś pan mógł o tem wiedzieć.

— Otóż to! — zawołał starzec z tryumfem. — Mniemałeś, że go możesz spokojnie oczerniać i lżyłeś przekonany, że nie wiedziałem o dobrych uczynkach biednego Lewina.

— Ale nie, nie...

— Czyż pan sądzisz, że nie wiem i o tem, iż pułk, ofiarowany mu przez króla, odstąpił oficerowi, którego ranił w pojedynku, mówiąc, że tamten był od niego więcej zasłużonym?

— Myślałem, że nikt nie wie o tym jego postępkach...

— Powiedz mi więc, panie gubernatorze Drontheimhuusu, czy przez to postępki jego mniej ci się pięknym wydaje? Że Lewin ukrywał swoje cnoty, to jeszcze nie powód, aby mu ich zaprzeczać. Jakże ludzie wszyscy są do siebie podobni! I któż ośmieli się porównywać ich ze szlachetnym Lewinem, który nie mogąc ocalić żołnierza przekonanego, iż chciał go zamordować, wyznaczył pensję dla wdowy po swoim mordercy?

— A któżby postąpił inaczej?

Schumacker wybuchnął z całym uniesieniem:

— Kto? Pan! Ja sam! Wszyscy ludzie, panie gubernatorze! Że pannosisz mundur jeneralski i honorowe znaki na swojej piersi, czy dlatego wierzysz w swoje zasługi? Pan jesteś jenerałem, a nieszczęśliwy Lewin umrze jako kapitan. Prawda jednak, że on

był szaleńcem, nie myślał o wyniesieniu się i zaszczytach.

— Jeśli nie myślał o sobie sam, to król jednak w swej łasce o nim pomyślał.

— Łaska? Powiedz pan raczej — sprawiedliwość! Jakąż więc tak świetną dano mu nagrodę?

— Jego królewska mość wynagrodził Lewina Knud nad jego zasługi.

— Wybornie! — zawołał stary minister klaskając w ręce. — Zasłużony kapitan, po trzydziestu latach służby, został może majorem, a już ta wysoka łaska rzuca cień na pańską osobę, szlachetny jenerale. Słusznie mówi przysłowie perskie, że zachodzące słońce zazdrości wschodzącemu księżycowi.

Schumacker tak był rozdrażniony, że nie słyszał nawet, gdy jenerał powiedział:

— Ale pan mi ciągle przerywasz... nie pozwalasz nawet wytłumaczyć sobie...

— O nie! — przerwał mu więzien — z pierwszego wejrzenia, panie jenerale, zdawało mi się, że widzę pewne podobieństwo pomiędzy panem i zacnym Lewinem; ale przekonuję się, że niema go wcale.

— Posłuchajże pan...

— Mam pana słuchać? Może będziesz chciał wmówić we mnie, że Lewin Knud nie godzien nawet jest nędznej nagrody...

— Przysięgam panu, że nie to...

— Chcielibyście może dowodzić mi — bo odgaduję was, o ludzie podstępni! — że on jest taki, jak wy wszyscy: oszustem, hypokrytą, nędznikiem...

— Ależ nie! doprawdy.



— Więc może zdradził przyjaciela, przesładował swego dobroczyńcę, jak wszyscy czynią? Może otrul swego ojca, lub zamordował swą matkę?

— Jesteś pan w błędzie... wcalebym nie chciał...

— Czy pan wiesz, że to on skłonił wice-kancelarza Winda, a niemniej Scheela, Vindinga i Lassona, trzech moich sędziów, aby nie głosowali za karą śmierci? I chcesz, abym słuchał, jak go szkalujesz? Tak jest, w ten sposób postąpił względem mnie Lewin Knud, a jednak ja więcej mu złego niż dobrego zrobiłem, bo jestem, jak i wy, ludzie, nikiemny i zły.

Szlachetny Lewin, podczas tej dziwnej rozmowy, doznawał szczególnego wzruszenia. Będąc jednocześnie przedmiotem bezpośrednich obelg i najszczerzej pochwały, nie wiedział jak sobie postąpić wobec cierpkich komplementów i zniewag pochlebnych. Czuł się dotkniętym i rozczulonym. Raz chciał unieść się, to znowu dziękować Schumackerowi. Obecny a nieznany, z przyjemnością słuchał, jak Schumacker bronił rzekomo nieobecnego przyjaciela — jego samego; wołałby był tylko, żeby jego adwokat do swoich pochwał mniej mieszał cierpkości i goryczy. W głębi jednak serca więcej go wzruszały gwałtowne pochwały, oddawane kapitanowi Knud, aniżeli raniły zniewagi, zwrócone do gubernatora Drontheimhuusu. Rzuciwszy na upadłego faworyta życzliwe spojrzenie, postanowił pozwolić mu wynurzyć się, wypowiedzieć całe swe oburzenie i wdzięczność.

Wreszcie Schumacker, po długich tyradach o niewdzięczności ludzkiej, upadł wyczerpany na fotel, kończąc z boleścią:

— O ludzie, cóżem wam uczynił, żeście mi się tak poznać dali?

Jenerał przeto nie mógł przystąpić do załatwienia sprawy, która go tu sprowadziła. Cała niechęć niepokojenia więźnia badaniem ośwładnęła go na nowo. Do współczucia i rozczerzenia przyłączyły się dwie jeszcze przyczyny: gwałtowne wzruszenie Schumackera nie dawało mu pewności, aby zdołał on odpowiadać ściśle; a powtóre, zastanawiając się nad całą sprawą, szlachetny Lewin nie sądził, by podobny człowiek mógł knuć jakie spiski. Lecz czy mógł powrócić do Drontheimu nie wybadawszy Schumackera? Przykra ta konieczność, wynikająca z obowiązków gubernatora, zwała go na wahanie. Łagodząc więc ile możności głos swój, zaczął w następujący sposób:

— Chciejcie się uspokoić, hrabio Schumacker...

Zacny gubernator, natchnieniem niejako wiedziony, użył tego tytułu. Jak gdyby chciał pogodzić uszanowanie dla wyroku, pozbawiającego więźnia dostojenstw i zaszczytów, ze względami należnymi dla nieszczęścia, połączył tytuł hrabiowski z jego nieszlacheckim nazwiskiem. Potem mówił dalej:

— Przykry obowiązek sprowadza mnie tutaj...

— Przedewszystkiem — przerwał więzień — pozwól panie gubernatorze, abyśmy pomówili jeszcze o przedmiocie, który mnie zajmuje więcej niż wszystko, co mi wasza ekscelencja powiedzieć może. Mówiłeś pan przed chwilą, że tego szaleńca, Lewina, wynagrodzono nad jego zasługi. Bardzobym pragnął wiedzieć — w jaki mianowicie sposób?



— Jego królewska mość, panie Griffenfeld, wniosła go na stopień jenerała i od dwudziestu lat szalenie ten starzeje się spokojnie, zaszczycony tą godnością wojskową oraz życzliwością swego króla.

Schumacker opuścił głowę.

— Tak, tak — rzekł — ten szalony Lewin, któremu tak mało zależało, choćby do śmierci został kapitanem, umrze jako jenerał, a rozumny Schumacker, mający nadzieję, że skończy życie jako wielki kanclerz, dożywa swoich dni jako więzień stanu.

Mówiąc to, starzec zakrył twarz dłońmi i westchnienie wyrywało się z jego piersi. Ethel, o tyle tylko pojmująca tę rozmowę, ile ona zasmucała jej ojca, starała się go rozerwać.

— Mój ojcze — przemówiła — czy widzisz tam na północy błyszczące światelko, którego poprzednich wieczorów nigdy nie spostrzegłam?

W samej rzeczy, pośród zupełnej już nocy, można było widzieć na horyzoncie dalekie światelko, zdające się błyszczeć na wierzchołku wysokiej góry. Ale oko i myśl Schumackera nie zwracały się nieustannie ku północy, jak oczy Etheli, nie przeto nie odpowiedział. Spostrzeżenie młodej dziewczyny jenerała tylko uderzyło.

— Może to — rzekł do siebie — ogień przez powstańców zapalony?

Myśl ta znów mu przypomniła cel jego pobytu w zamku, zwrócił się przeto do więźnia:

— Panie Griffenfeld, przykro mi, że cię muszę niepokoić; zechcesz pan jednak pozwolić, abym...

— Rozumiem, panie gubernatorze. Jak widzę, niedość wam tego, że pędzę dni swoje w tej wieży, osławiony i samotny; że pozostały mi tylko gorzkie wspomnienia wielkości i potęgi... Potrzeba wam jeszcze naruszać moją spokojność dla zbadania mej boleści i nacieszenia się mojem nieszczęściem. Ponieważ szlachetny Lewin Knud, którego przypomniły mi rysy pańskiej twarzy, jest także jenerałem, wielkiem przeto dla mnie byłoby szczęściem, aby jemu dano miejsce, które pan zajmujesz; on bowiem, przysięgam panu, nie przyszedłby dręczyć nieszczęśliwego w jego więzieniu.

Podeczas całej tej dziwacznej rozmowy, aby ją nareszcie zakończyć, jenerał kilkakrotnie chciał już wymienić swoje nazwisko. Wymówka Schumackera i ten jego zamiar udaremniła. Tak silnie zgadzała się ona z jego przekonaniem, że natchnęła go niejako uczuciem wstydu samego siebie. Starał się jednak odpowiedzieć na zarzut Schumackera. Sędzia musiał niejako usprawiedliwić się przed obwinionym. Odezwał się przeto:

— Gdyby jednak obowiązek tego wymagał, to z pewnością i Lewin Knud...

— Bardzo wątpię, jenerale! — przerwał Schumacker — pan zaś możesz być pewnym, że on odrzuciłby ze szlachetnem oburzeniem urząd, któryby mu kazał śledzić i zwiększać tortury nieszczęśliwego więźnia! Znam go lepiej niż pan, w żadnym razie nie podjąłby się obowiązków kata. A teraz słucham was, panie jenerale. Chciej pan wypełnić to, co nazywasz swoim obowiązkiem. Wasza ekscelencya czego ode mnie żąda?



Stary minister utkwiał w gubernatora dumne wej-  
rzenie.

Całe postanowienie tego ostatniego odrazu się  
rozwiąło.

— Ma słuszość — pomyślał — czy można drę-  
czyć nieszczęśliwego na zasadzie prostego podejrzenia?  
Niechaj to komu innemu poruczą.

Zbliżył się potem do zdziwionego Schumackera,  
ścisnął go za rękę i wyszedł, rzekłszy uroczyście:

— Hrabio Schumacker, zachowaj zawsze szacu-  
nek dla Lewina Knud.

## XI

*Lew.*

Hu!

*Tezensz.*

Dobrze zaryczałeś, lwie!

*Shakspeare* „Sen nocy letniej“.

— Wstań — rzekł — niechaj cię  
zabiję, jak ty zabiłeś syna mojego.

„Tysiąc nocy i jedna“.

Podróżny, przebiegając za naszych czasów po-  
kryte śniegiem góry, otaczające jakby białym pasem  
jezioro Smiasen, nie napotka nawet śladu tego, co  
Norwegczycy w XVII wieku nazywali *Zwaliskami*  
*Arbara*. Nigdy nie było wiadomem, z jakiego miano-  
wicie gmachu powstały te zwaliska, jeżeli tylko można  
im było nadać takie miano. Wyszedszy z lasu, do-  
tykającego południowej części jeziora i wdrapawszy  
się po pochyłości, pokrytej tu i owdzie szczątkami  
murów i resztkami wieży, przybywało się nakoniec do  
sklepionego otworu, wybitego w stoku góry. Otwór  
ten, dzisiaj całkowicie zavalony obsuwającą się ziemią,  
stanowił wejście do podziemnego korytarza, wykutego  
w skale i prowadzącego z jednego stoku góry na dru-  
gi. Korytarz oświecały stożkowe okienka, wybite w pe-  
wnych odległościach w sklepieniu, w końcu zaś korytarza,  
znajdowała się owalna sala, w połowie wykuta w skale,

Han z Islandyi. Tom II.



a zakończona celtyckim murem. Dokoła sali, w głębokich framugach, widniały granitowe figury prostej roboty. Niektóre z tych tajemniczych posągów, zrzucone ze swoich podstaw, leżały na kamiennej posadzce, zmieszane z mnóstwem innych bezkształtnych szczątków, porosłych trawą i mchami, pośród których przesuwawa się jaszczurka, pająk i wszystkie zresztą ohydne gady i owady, gnieźdzące się w ziemi i zwaliskach.

Światło dzienne dochodziło tam tylko przez trójkątne drzwi, przeciwnie do otworu korytarza. Drzwi te, chociaż zaczynały się od samej posadzki, można było nazwać oknem, wychodziły bowiem na bezdenną przepaść, a trudno było pojąć, dokąd mogły prowadzić trzy czy cztery schody, zawieszone nad otehlanią, poniżej tego szczególnego wyjścia.

Opisana wyżej sala tworzyła wewnątrz olbrzymiej wieży, która zdaleka, od strony przepaści, wyglądała jak jeden ze szczytów góry. Wieża stała samotnie i, jakśmy to już powiedzieli, nie wiadomo do jakiego budynku należała kiedyś. Wyżej tylko, na płaszczyźnie niedostępnej dla najśmielszego strzelca, można było widzieć gromadę murów, wyglądającą zdaleka jak krzywa skała, albo szczątki kolosalnej arkady. Wieżę tę, wraz z ruinami arkady, wieśniacy norwescy nazywali *Zwaliskami Arbara*. Pochodzenia tej nazwy również nikt wyjaśnić nie umiał.

Na kamieniu, leżącym pośrodku owalnej sali, siedział odziany w skóry dzikich zwierząt mały człowiek, któregośmy już kilkakrotnie spotkali. Zwrócony był tyłem do dziennego światła, albo raczej do słabego brzasku, który wdzierał się do ponurej wieży o połu-

dniu. Przy świetle tem, najsilniejszym, jakie mogło docisnąć się do wnętrza wieży, niepodobna było jednak rozpoznać przedmiotu, nad którym ów mały człowiek siedział pochylony. Słychać było niekiedy głuche jęki, a ze słabych poruszeń przedmiotu, można było odgadnąć, że stamtąd pochodziły. Od czasu do czasu mały człowiek powstawał i niósł do ust czarę, kształtem do ludzkiej czaszki podobną, a pełną dymiącego płynu, którego barwy również dojrzeć nie było można, i pił go długimi łykami.

Nagle powstał.

— Zdaje mi się — rzekł — że ktoś idzie korytarzem... Czyby to już był kanclerz obojga królestw?

Po słowach tych nastąpił wybuch strasznego śmiechu, zakończonego dzikiem rykiem, na który odpowiedziało wycie w głębi korytarza.

— Ho! ho! — mówił dalej mieszkaniec Zwalisk Arbara — to nie człowiek; zawsze jednak nieprzyjacieł: to wilk.

Wistocie, z pod sklepienia korytarza, wysunął się ogromny wilk, przystanął na chwilę, a potem zaczął się zbliżać do małego człowieka, czołgając się na brzuchu i wlepiwszy weń oczy błyszczące w ciemności. Ten ostatni zaś, stojąc z założonemi rękoma, patrzył na niego spokojnie.

— A! — rzekł nareszcie — to wilk z szaremi kudłami, najstarszy w Smiasieńskich lasach. Dzień dobry, wilku; oczy twoje błyszcza, jesteś zgłodniały, a zapach trupów przynęca cię tutaj. Niedługo ty sam przywabiasz będziesz zgłodniałych wilków. Witaj, wilku smiasieński; zawsze pragnąłem spotkać się z tobą. Tak



jesteś już stary, iż ludzie sądzą, że nigdy życia nie skończysz. Jutro już tego nie powtórza.

Zwierz odpowiedział straszliwym rykiem, cofnął się i jednym skokiem rzucił się na małego człowieka. Ten ani na krok nie ruszył się z miejsca. Szybki jak błyskawica, prawą ręką uchwycił za brzuch wilka, który stojąc na tylnych, przednie swe łapy zarzucił na jego ramiona, lewą ręką zasłonił twarz przed otwartą paszczą swego wroga i uchwycił go za gardło z taką siłą, że zwierz, podniósłszy łeb do góry, zdołał zaledwie wydać jęk chrapliwy.

— Wilku smiaszeński — zawołał mały człowiek z tryumfem — rozdierasz moją oponę, ale ją twoja skóra zastąpi.

W chwili, kiedy do tych słów zwycięskich dodawał kilka wyrazów z jakiegoś dziwnego języka, wysilenia konwulsyjne duszonego wilka przewróciły go na kamienie, rozrzucone po sali. Upadli obadwaj, a ryk ludzki złączył się z wyciem dzikiego zwierza.

W upadku swoim puściwszy gardło wilka, mały człowiek już uczuł ostre kły, zatapiające się w jego ramieniu, kiedy, taczając się po ziemi, walczący potracili białą, kosmatą masę olbrzymiej wielkości, leżącą w najciemniejszej części sali.

Był to niedźwiedź; zaczepiony, obudził się z głębokiego snu, mrużąc gniewnie.

Skoro tylko jego zaspane ślepia otwały się o tyle, że mógł dojrzeć toczącą się walkę, natychmiast rzucił się z wściekłością, nie na człowieka jednak, lecz na wilka, tryumfującego właśnie w tej chwili; swą paszczą straszliwą schwytał go za kark i odciągnął od

człowieka. Ale człowiek wcale nie był zadowolony z tej usługi. Podniósłszy się, kopnął niedźwiedzia silnie nogą w brzuch, jak pan karcący swego psa.

— Kto cię wołał, Friend? Po co się tu wtrącasz?

Słowom tym, wypowiedzianym z wściekłością, towarzyszył zgrzyt zębów.

— Precz! — dodał z rykiem mały człowiek.

Niedźwiedź, sponiewierany przez człowieka i zarazem skaleczony kłem wilka, zaskomlał żałośnie, a potem, nachylając swój ciężki łeb, puścił zgłodniałego zwierza, który z nową zązartością rzucił się na swego dawnego przeciwnika.

Podczas toczącej się w dalszym ciągu walki, odpędzony niedźwiedź wrócił na miejsce, na którym spał poprzednio, a zasiadłszy tam poważnie, patrzył na walczących obojętnie i w milczeniu, głaszcząc niekiedy koniec swego pyska to jedną, to drugą łapą.

Mały człowiek w chwili, kiedy patryarcha smiaszeńskich wilków powtórnie rzucił się na niego, uchwycił krzywy jego pysk i naraz, niezmiernie zręcznym a przytem niesłychanie silnym ruchem, uwieźił całą jego paszczę w swych dłoniach. Wilk wyrwał się, rzucał z wściekłości i bólu; piana toczyła się z jego ściśniętego pyska, a krwią zaszele ślepią zdawały się wychodzić ze swych dołów.

Potem kości jednego z walczących zaczęły trzeszczeć, gruchotane przez ostre zęby, jego ciało szarpały silne szpony, ofiarą tą jednak nie był człowiek, ale zwierz drapieżny; ze wspólnych ich ryków, straszniejszym i dzikszym był ryk nie zwierza, lecz człowieka.



Ten ostatni, zbierając siły wyczerpane przez długi opór starego wilka, obydwoma rękami ścisnął jego paszczę z taką mocą, że krew trysnęła z nozdrzy zwierza, jego błyszczące oczy zgasły i napół się zamknęły, wreszcie zachwiał się i padł u nóg swego zwycięzcy. Słabe poruszenia ogonem i konwulsyjne drgania, przebiegające po całym jego ciele, świadczyły, że zwierzę żył jeszcze. Trwało to jednak zaledwie kilkanaście sekund, poczem wszelkie oznaki życia znikły.

— Otóż i nie żyjesz stary wilku — rzekł mały człowiek, popychając wzdornie nogą martwego już zwierza. — Czy sądziłeś, że późniejszej doczekasz się starości po spotkaniu mnie na swej drodze? Nie będziesz już po śniegu biegał cichymi krokami, wietrząc i tropiąc swe ofiary; sam teraz staniesz się łupem wilków, albo sępów. Zbłąkanych podróżnych około Smiasen pożarłeś wielu w ciągu twego długiego, pełnego mordów życia, a teraz sam już nie żyjesz, nie będziesz więcej pożerał ludzi. A szkoda!

Wziąwszy do ręki ostry kamień, usiadł nad ciepłym i drgającym jeszcze trupem wilka, porozcinawszy stawy członków, oderznął głowę, przeciął skórę przez całą długość brzucha i zdjął ją, jak kaftan, z martwego cielska; ze strasznego wilka Smiasieńskich lasów pozostał tylko kadłub nagi i skrwawiony. Potem zwycięzca zdobytą skórę zarzucił na swe pokasane ramiona, odwróciwszy na zewnątrz spodem, krwią zbroczonym.

— Rad nie rad — mruknął do siebie — muszę odziewać się w skóry dzikich zwierząt, gdyż skóra ludzka za cienka jest, aby ochronić mogła od zimna.

Gdy mały człowiek tak przemawiał do siebie,

ohydniejszy jeszcze teraz, bo odziany w swój łup odrażający, niedźwiedź, znudzony widzieć bezczynnością, zbliżył się cichaczem do leżącego na środku sali przy jednym z głazów przedmiotu, o którym mówiliśmy na początku tego rozdziału, i wkrótce słychać było szczekanie zębów zwierza oraz przenikliwie i bolesne jęki.

— Friend! — zawołał mały człowiek groźnie — Friend! Tu, pójdź tu!

I podniósłszy kamień, rzucił nim w głowę zwierza, który odurzony tym ciosem, opuścił z wolna ucztę i oblizując swój pysk skrwawiony, przywłókł się leniwie do nóg małego człowieka, podnosząc ku niemu swą ogromną głowę i schylając grzbiet, jak gdyby prosił o przebaczenie za swoją nierozwagę.

Wtedy, pomiędzy dwoma potworami, można bowiem śmiało nadać tę nazwę mieszkańcowi Zwalisk Arbara, rozpoczęła się wymiana śnać pełnych znaczenia mruczeń. Mruczenie człowieka wyrażało władzę i gniew, niedźwiedzia zaś prośbę i uległość.

— Masz — rzekł na koniec mały człowiek, wskazując zakrzywionym palcem obdarty trup wilka — to dla ciebie; tamtę zdobycz dla mnie pozostaw.

Niedźwiedź, powąchawszy wilka, potrząsł głową z niezadowoleniem i spojrzenie swoje znów skierował na człowieka, który widocznie był jego panem,

— Rozumiem cię — rzekł człowiek — to już dla ciebie nazbyt martwe, gdy tamto drga jeszcze. Jesteś wybredny w swoich ucztach, Friend, jakbyś był człowiekiem; chcesz, żeby twój kasek żył jeszcze, kiedy go szarpiesz; przyjemność ci sprawia, kiedy pastwa przestaje żyć pod twoim zębem; to tylko, co cierpi,



rozkoszy ci dostarcza. Jesteśmy do siebie podobni, Friend. Stoję wyżej od nędznego rodu ludzkiego, jestem, jak i ty, drapieżnym zwierzem. Chciałbym, abyś mógł mówić, towarzyszu Friend, powiedziałbyś mi bowiem, czy mojej rozkoszy dorównywa rozkosz, jakiej doznajesz, kiedy pożerasz wnętrzności ludzkie. Ale nie, nie chcę, żebyś mówił, bo lękam się, by głos twój ludzkiego nie przypominał mi głosu. Tak, tak, mrucz u moich nóg tem mruczeniem, które przejmuję dreszczem zbłąkanego w górach myśliwca. Podnieś, Friend, swoją głowę ku mnie, liż moje ręce językiem, który tyle razy pił ludzką krew. Masz, jak i ja, zęby białe, a nie nasza wina, że nie są one czerwone, jak świeża rana. Ale krew zmywa krew. Widziałem nieraz z głębi swej jaskini, jak młode dziewczyny z Kole lub Oelmoe myły swe nagie nogi w wodzie potoku, śpiewając cichym głosem; ale nad te głosy melodyjne, nad te gładkie twarze, wolę twoją paszczę kudłatą i ryki chrapliwe, bo one strachem przejmują człowieka.

Mówiąc tak, usiadł i rękę swoją oddał na pieszczoły zwierzowi, który przewracając się na grzbiecie u jego nóg, bawił się z nim, jak piesek, igrający ze swoją panią.

Najdziwniejszą była uwaga, z jaką niedźwiedź słuchał słów swojego pana. Szczególnie monosylaby, które mi tenże przeplatał swoje wyrazy, zdawał się najlepiej rozumieć, a zrozumienie to ujawniał podnosząc nagle głowę, albo wydając głucho chrapanie z głębi swej gardzieli.

— Ludzie mówią, że od nich uciekam — ciągnął dalej mały człowiek — przeciwnie, to oni ucie-

kają ode mnie, robią przez bojaźń to, co jabym uczynił z nienawiści... Ty jednak wiesz, Friend, że z zadowoleniem spotykam człowieka, kiedy czuję głód albo pragnienie.

Nagle spostrzegł w głębi korytarza światelko, które pokazało się i wzrastało stopniowo, oświecając wilgotne mury.

— Otóż jeden z nich. Kiedy się mówi o piekle, szatan pokazuje swe rogi... Hola! Friend — dodał, odwracając się do niedźwiedzia — wstań!

Zwierz powstał natychmiast.

— No, no, trzeba wynagrodzić posłuszeństwo, zaspakajając twój głód.

To rzekłszy, mały człowiek nachylił się do przedmiotu, który leżał na ziemi, a po chwili rozlegało się jakby trzeszczenie kości rąbanych siekierą; już jednak nie było słyhać jęków.

— Jak widzę, to nas dwóch tylko jest żyjących w tej sali Arbara. Masz, przyjacielu Friend, dokonaj rozpoczętej uczty.

I ku drzwiom trójkątnym rzucił odciętą część przedmiotu, który leżał u jego nóg.

Niedźwiedź poskoczył do swego łupu z taką chciwością, że najwprawniejsze oko nie zdołałoby dostrzedz, czy nim nie było ramię ludzkie, odziane w kawałek sukna, barwy munduru muszkieterów munckholmskiego pułku.

— Otóż nadchodzą — rzekł mały człowiek, wpatrując się w światło coraz więcej wyraźniejsze. — To towarzyszu Friend zostaw mnie na chwilę samego... dalej! precz!



Posłuszny zwierz cofnął się ku drzwiom trójkątnym, zszedł tyłem po schodkach i z rykiem zadowolenia znikł, unosząc w paszczy swoją zdobycz odrażającą.

W tej samej chwili, przy wyjściu z korytarza, w zakrętach którego błyszczało jeszcze niepewne światło, zjawił się człowiek dość wysokiego wzrostu. Odziany był w długi, ciemny płaszcz, w rękę zaś trzymał ślepa latarkę, której światło skierował wprost na twarz małego człowieka.

Ten siedząc wciąż na kamieniu z założonemi rękoma, zawołał:

— Biada ci przybyszu, który wchodzisz tutaj kierując się myślą a nie instynktem!

Nieznajomy, nie odpowiadając, przypatrywał mu się z uwagą.

— Przyjrzyj mi się — mówił dalej mały człowiek podnosząc głowę — za godzinę może nie będziesz miał już tyle głosu w swej piersi, aby się móżdż pochwalić, żeś mnie zobaczył.

Nowoprzybyły, prowadząc światłem po całej postaci małego człowieka, okazywał więcej zdziwienia aniżeli strachu.

— Cóż się tak dziwisz? — odezwał się znów mieszkaniec Zwalisk Arbara ze śmiechem, podobnym do trzeszczenia łamanej czaszki — mam ręce i nogi, jak i ty, tylko, że moje członki nie staną się, jak twoje, żerem jastrzębi i kruków.

Nieznajomy odpowiedział nakonieć głosem pewnym lecz przyciszonym, jakby się obawiał, żeby go kto więcej nie usłyszał:

— Nie przychodzę tutaj jako wróg, przeciwnie, przychodzę jako przyjaciel...

Mieszkaniec Zwalisk nie pozwolił mu dokończyć.

— Dlaczegoż więc — rzekł — nie zrzuciłeś z siebie ludzkiej postaci?

— Zamiarem moim jest oddać ci usługę, jeśli tylko jesteś tym, którego szukam...

— To znaczy, że chcesz, abym ci był użytecznym. Człowieku, daremne są twe trudy. Umieć oddawać usługi tym tylko, którym się żyć sprzykrzyło.

— Ze słów tych — odparł nieznajomy — widzę, że jesteś człowiekiem, jakiego mi potrzeba. Ale twój wzrost... Han z Islandyi jest olbrzymem, więc ty nim być nie możesz.

— Pierwszy to raz wątpię o tem w mojej obecności.

— Jakto! ty nim jesteś? — i nieznajomy zbliżył się do małego człowieka. — Ależ wszyscy mówią, że Han z Islandyi ma kolosalną postawę?...

— Do postawy dodaj moją sławę, a będę wyższym od Hekli.

— Doprawdy? Powiedz, proszę, czy rzeczywiście jesteś Hanem, urodzonym w Klipstadur w Islandyi?

— Nie odpowiadam słowami na to pytanie — rzekł mały człowiek powstając, a przed spojrzeniem jego nieznajomy cofnął się o trzy kroki.

— Poprzestaję na odpowiedzi twego spojrzenia — zawołał prawie błagalnie nieznajomy, spoglądając na próg korytarza wzrokiem, w którym znać było żal, że go przestąpił. — Twoje dobro sprowadza mnie tutaj.



Wchodząc do sali i nie rozpoznawszy jeszcze należyte postaci tego, którego szukał, nieznajomy zachowywał pewność siebie i krew zimną; ale gdy mieszkanie Zwalisk stanął przed nim ze swoją twarzą tygrysią, skrwawionymi ramionami, nawpół okrytymi skórą jeszcze posoką zbroszoną, z rękami zbrojnymi w długie pazury, z płomiennym spojrzeniem, wtedy zadrżał jak nieświadomy podróżny, któremu zdaje się, że igra z węgorzem a poznaje ukąszenie żmii.

— Moje dobro? — powtórzył drwiąco potwór. — Czy przychodzisz uwiadomić mnie, że jest gdzie źródło do zatrucia, wieś do spalenia, albo, że można gdzie zamordować jakiego żołnierza z munckholmskiego pułku?

— Być może. Słuchaj jednak. Górnicy norwescy buntują się. Wszak wiesz, jakie klęski bunt za sobą prowadzi?

— Wiem: mordy, gwałty, świętokradztwa, pożary, rabunki...

— Ofiaruję ci to wszystko.

Mały człowiek zaczął się śmiać.

— Aby to mieć, nie potrzebuję twojej łaski.

Towarzyszący tym słowom śmiech dziki i szyderczy przejął dreszczem nieznajomego. Rzekł jednak:

— W imieniu górników, proponuję ci, żebyś stanął na czele powstania.

Mały człowiek milczał przez chwilę. Nagle ponure jego i straszne oblicze przybrało wyraz piekielnej złośliwości.

— Czy rzeczywiście w ich imieniu proponujesz mi to? — zapytał.

Nieznajomy zmieszał się; rychło jednak przyszedł do siebie i odpowiedział:

— Tak jest.

— Dlaczego się górnicy buntują? — spytał znowu mały człowiek.

— Chcą się uwolnić z pod opieki królewskiej.

— Czy tylko dlatego?

— Chcą również wyswobodzić munckholmskiego więźnia.

— I to jedyny cel tego ruchu? — powtórzył mały człowiek z szyderstwem, które dziwnie zaniepokoiło nieznajomego.

— Nie znam innego — wybąknął.

— A! ty nie znasz innego celu!

Słowa te wypowiedziane były tym samym ironicznym tonem.

Nieznajomy, chcąc już raz rozegrać stawkę, wy dobył z pod płaszcza dobrze wyładowany worek i rzucił go skwapliwie pod nogi potwora.

— Oto nagroda za twoje dowództwo.

Mieszkaniec Zwalisk odepchnął worek nogą.

— Nie chcę tego — rzekł. — Czy sądzisz, że gdybym pragnął złota albo krwi, to czekałbym na twoje pozwolenie, aby pragnienie to zaspokoić?

Nieznajomy zadrżał ze zdumienia i zarazem mimowolny uczuł przestrah.

— Jest to podarunek, który górnicy królewscy polecili mi doręczyć tobie.

— Mówię ci, że go nie chcę. Złoto na nie mi się nie przyda. Ludzie sprzedają chętnie swą duszę, ale nie sprzedają życia. Trzeba im siłą je odbierać.



— Oświadczę więc wodzom górników, że straszliwy Han z Islandyi zgadza się przyjąć dowództwo...

— Nie przyjmuję go.

Słowa te, wypowiedziane stanowczo, wywarły na mniemanym pośle górników fatalne wrażenie.

— Jakto? — zapytał.

— Nie przyjmuję dowództwa! — powtórzył Han z Islandyi.

— Nie chcesz przyjąć udziału w wyprawie, która tyle przedstawia korzyści?

— Bo mogę sam jeden rabować wioski, pustoszyć folwarki, mordować chłopów i żołnierzy.

— Ależ pomyśl, że przyjmując propozycję górników, zapewniasz sobie zupełną bezkarność...

— Czy także w imieniu górników przyrzekasz mi bezkarność? — zapytał Han ze śmiechem.

— Nie będę ukrywał — odpowiedział nieznajomy tajemniczo — że to w imieniu pewnej potężnej osoby, która zajmuje się powstaniem.

— A ta potężna osoba czy jest pewna, że jej samej nie powieśzą?

— Gdybyś ją znał, nie wahałbyś się ani przez chwilę.

— Więc któż to jest taki?

— Tego powiedzieć nie mogę.

Mały człowiek postąpił naprzód, a uderzywszy po ramieniu nieznajomego, rzekł z tym samym szyderczym śmiechem:

— Czy chcesz, żebym ja ci to powiedział?

Nieznajomy mimowoli wzdrygnął się, ponieważ z przestachu, ponieważ też z podrażnionej dumy; nie

spodziewał się, iżby rozbójnik mógł się do niego zwrócić z temi słowy, ani też przypuszczał dzikiej z jego strony poufałości.

— Dziwi cię to — mówił dalej Han — że ja wiem o wszystkim? Ta potężna osoba, to wielki kanclerz Danii i Norwegii—to ty.

Tak było w samej rzeczy.

Przybywszy do Zwalisk Arbara, dokąd, jak wiemy, dażył z Musdoemonem, hrabia Ahlefeld chciał sam namówić rozbójnika, który, jak sądził, wcale go nie znał i nie oczekiwał; nigdy też nawet potem, mimo całej swej przebiegłości i władzy, nie mógł dociec, jakim sposobem Han był tak dobrze uwiadomiony. Byłaby to zdrada Musdoemona?

Wprawdzie to Musdoemon podał szlachetnemu hrabiemu myśl, aby ten osobiście widział się z rozbójnikiem; ale zdradzając, jakież mógł w tem mieć interes? A może rozbójnik znalazł przy której ze swoich ofiar jakie papiery, dotyczące zamiarów wielkiego kanclerza? Lecz oprócz Musdoemona, tylko Fryderyk Ahlefeld był jedynym żyjącym powiernikiem planów hrabiego, a chociaż był on lekkomyślnym, nie zdradziłby jednak podobnej tajemnicy. Zresztą kwaterował w Munkholm, przynajmniej wielki kanclerz tak sądził. Wkrótce przekonamy się, że to ostatnie przypuszczenie można było uznać za prawdopodobne.

Jednym z głównych przymiotów hrabiego Ahlefelda była przytomność umysłu. Usłyszawszy swoje nazwisko, wymienione tak niespodziewanie przez małego człowieka, nie mógł powstrzymać okrzyku zdziwienia; w gnieniu oka jednak z jego twarzy bladej i wy-



niosłej znikł wyraz obawy, ustępując przed spokojem i pewnością.

— A więc, tak! — rzekł — chcę z tobą być szczerym. Jestem wistocie kanclerzem. W zamian i od ciebie wymagam szczerości.

Gwałtowny wybuch śmiechu przerwał mu.

— Czy potrzebowałeś mnie prosić, abym ci powiedział swoje, albo twoje imię?

— Powiedz mi więc z równą szczerością: skąd dowiedziałeś się, kto ja jestem?

— Czy ci nie mówiono, że Han z Islandyi nawskroś gór widzieć może?

Hrabia chciał jeszcze nalegać.

— Uważaj mnie za przyjaciela...

— Daj mi swą rękę, hrabio Ahlefeld! — rzekł opryskliwie mały człowiek.

Po chwili, wpatrując się w twarz ministra, zawołał:

— Gdyby w tym momencie nasze dusze opuściły ciało, to zdaje mi się, że szatan długoby się wahał, zanimby stanowczo powiedział, która z nich jest duszą rozbójnika.

Dumny dygnitarz przygryzł wargi; obawa jednak rozbójnika z jednej strony, a z drugiej konieczność uczynienia z niego swego narzędzia, zmusiła go do stłumienia wściekłości.

— Nie lekceważ — rzekł — swego własnego interesu; obejmij kierunek powstania i licz na moją wdzięczność.

— Kanclerzu Norwegii, ty tak spodziewasz się powodzenia twojego przedsięwzięcia, jak stara baba,

która myśli o sukni, jaką ma sobie uprząść ze skradzionych konopi, a tymczasem pazury kota płaczą jej wrzeciona.

— Jeszcze raz proszę zastanów się, zanim odrzucisz moją ofiarę.

— Jeszcze raz, ja, rozbójnik, powtarzam ci, wielki kanclerzu obojga królestw — nie!

— Po ważnej usłudze, jaką mi oddałeś, innej spodziewałem się odpowiedzi.

— Po jakiej usłudze? — zapytał rozbójnik.

— Czy to nie ty zamordowałeś kapitana Dispolsena?

— Być może, hrabio Ahlefeld, ale go nie znam wcale. Któż jest ten człowiek, o którym mówisz?

— Jakto! czyżby wypadkiem nie w twoje ręce wpadła żelazna szkatułka, którą on niósł z sobą?

Zapytanie to zdawało się coś przypominać rozbójnikowi.

— Poczekaj — rzekł — pamiętam wistocie i tego człowieka, i jego szkatułkę żelazną. Było to na płaszczynach Urechtału.

— Gdybyś mógł oddać mi tę szkatułkę, wtedy wdzięczność moja byłaby bez granic. Powiedz mi, co się z nią stało, bo napewno jest w twoim posiadaniu?

Szlachetny minister tak żywo nalegał, że to zdziwiło rozbójnika.

— Ta skrzynka żelazna jest więc tak wielkiej wagi dla twojej łaski, kanclerzu Norwegii?

— Tak, tak!

— Jakąż otrzymam nagrodę, jeśli ci powiem, gdzie ją możesz znaleźć?



— Wszystko, co tylko zażadasz, mój drogi Hanie.

— A więc, nie się ode mnie nie dowiesz.

— Żartujesz sobie! Pomyśl przecie, jaką mi przez to oddasz usługę.

— Właśnie o tem myślę.

— Zapewnię ci ogromny majątek; u króla wyjednam ulaskawienie...

— U mnie lepiej wyjednaj je dla siebie! — rzekł Han. — Słuchaj mnie, wielki kanclerzu Danii i Norwegii, — tygrysy nie pożerają hyen. Wypuszcę cię stąd żywego, bo jesteś zły, bo każda chwila twojego życia, każda myśl twojej duszy, wyradza nieszczęście dla ludzi a zbrodnię dla ciebie. Ale nie powracaj tu więcej, bo cię przekonam, że moja nienawiść nie oszczędza nikogo, nawet zbrodniarzy. Co się zaś tyczy kapitana, to nie pochlebiaj sobie, że go dla ciebie zamordowałem; mundur, jaki nosił, wydał wyrok na niego, jak i na tego oto nędznika, którego zabiłem zupełnie nie dla oddania ci usługi.

Rzekłszy to, ujął hrabiego za ramię i pociągnął do przedmiotu, leżącego w ciemności. W tej chwili właśnie światło latarni hrabiego padło na ów przedmiot. Był to pokaleczony trup, w mundurze oficera muszkietarów munckholmskich. Kanclerz zbliżył się z uczuciem wstępu. Nagle jego spojrzenie spoczęło na bladej i skrwawionej twarzy zamordowanego. Pomimo, że usta trupa były sine i nawpół otwarte, włosy najeżone, policzki wybladłe i oczy zagasłe, hrabia jednak poznał go natychmiast i krzyknął przeraźliwie:

— O nieba! to Fryderyk! mój syn!

Nie należy wątpić, że serca, pozornie najbardziej wyziębione i zatwardziałe, zachowują w swoich zakątkach tajnych uczucie, przez siebie nawet nieznane, ukryte między namiętnościami i występami, jak tajemniczy świadek i przysły mściciel. Można by powiedzieć, że istnieje ono tam dlatego, ażeby kiedyś zbrodnia poznała się z cierpieniem. Uczucie to oczekuje w milczeniu stanowczej chwili. Człowiek przewrotny nosi je w sobie, ale o niem nie wie, zwykle bowiem strapienie nie jest dość silne, aby zdołało się przedrzeć przez grubą warstwę egoizmu i złości, które je przytłumiają; ale kiedy niespodzianie zjawi się prawdziwa boleść życia, wtedy, jak w przepaści, nurtuje w duszy i dosięga najgłębszych jej kryjówek. Wówczas owo uczucie ogarnia nieszczęśliwego tem gwałtowniej, ponieważ było nieznane i tem boleśniej dotyka, ponieważ tkwiło w sercu niewidzialnie; ostrze bowiem nieszczęścia, chcąc dostać się do serca zlodowiałego, głębiej je wzruszyć musi. Wtedy natura ludzka targa swoje więzy, wystawia nędznika na niezwykle udręczenia, na niesłychane męczarnie; odczuwa on w jednej chwili wszystkie cierpienia, z których szydził w ciągu lat całych. Najrozliczniesze katusze dręczą go jednocześnie. Jego serce, dotknięte ponurem osłupieniem, wstrząsają konwulsyjne męki. Zdaje mu się, że ujrzał piekło w swoim życiu, że poznał coś straszniejszego jeszcze od rozpacz.

Hrabia Ahlefeld, nie wiedząc o tem, kochał swego syna. Mówimy syna, nie wiedział bowiem o przewierstwie żony, przeto Fryderyk, bezpośredni dziedzic jego imienia, był nim istotnie w jego oczach.



Sądząc, że jest on wciąż w Munkholm, nie mógł się spodziewać, że go zobaczy w wieży Arbara, a tembardziej, że go znajdzie nieżywym. A jednak ten trup skrwawiony, zsiniący—to był jego syn. Nie mógł o tem wątpić. Łatwo sobie wyobrazić, co się w nim działo, kiedy pewność, że go kochał, wdarła się do jego duszy razem z pewnością, że go już utracił. Wszystkie uczucia uderzyły jednocześnie w jego serce, jak wybuch piorunów. Powalony niejako zdumieniem, zgrozą i rozpaczą, rzucił się w tył i załamując ręce, powtarzał żałosnym głosem:

— Mój syn! mój syn!

Rozbójnik zaczął się śmiać, a strasznie brzmiał zaprawdę ten śmiech, wobec jęków ojca nad trupem syna.

— Na mojego przodka Ingolpha! — zadrwił potwór — możesz jęczeć, hrabio Ahlefeld, ale go już nie obudzisz.

Nagle twarz jego okrutna zachmurzyła się i rzekł ponuro:

— Oplakuj swego syna, ja się mszczę za mego.

W tej chwili w korytarzu rozległ się odgłos kroków, a kiedy Han obejrzał się z zadziwieniem, wpadło do sali czterech ludzi wysokiego wzrostu, z dobytymi szablami; za nimi podążał piąty, niski i otyły, ze szpadą w jednej a z pochodnią drugiej ręce, odziany w ciemny płaszcz, podobny do płaszcza wielkiego kanclerza.

— Usłyszeliśmy waszą miłość—zawołał ten ostatni — i przybiegamy z pomocą.

Czytelnik poznał zapewne Musdoemona i czterech zbrojnych hajduków, którzy składali straż przyboczną hrabiego.

Kiedy pochodnia oświeciła salę, nowo przybyli stanęli jak wryci, przejęci zgrozą i zdumieniem. Straszliwy widok mieli przed oczyma, Z jednej strony skrwawione szczątki wilka; z drugiej zeszepecony trup młodego oficera; dalej jego ojciec z osłupiałemi oczyma, dzikim krzykiem; obok niego okrutny rozbójnik, który zwrócił ku napastnikom swą twarz ohydłą, z wyrazem szczerzego zdumienia, lecz bez cienia obawy.

Na widok niespodziewanej pomocy, myśl zemsty przejęła hrabiego, a miejsce rozpacz zastąpiła wściekłość.

— Śmierć temu zbójowi! — zawołał, dobywając miecza. — Zamordował mego syna!... Śmierć mu śmierć!

— Jakto, zamordował pana Fryderyka? — zapytał Musdoemon, a przy świetle pochodni, którą trzymał w ręku, można było widzieć jego twarz zupełnie obojętną.

— Śmierć! śmierć! — powtarzał hrabia z wściekłością, rzucając się, wraz ze swymi ludźmi, na Hana!

Ten, nieprzygotowany na napaść, cofnął się ku trójkątnemu otworowi z dzikim rykiem, wyrażącym raczej gniew, niż bojaźń.

Sześć mieczów skierowało się kuniemu, lecz jego spojrzenie silniej błyszczało, rysy były groźniejsze, niż spojrzenie i rysy któregośkolwiek z napastników. Pochwycił swój kamienny topór, a zmuszony przez tak znaczną przewagę nacierających do energicznego i baczego oporu, obracał nim z taką szybkością, że koła, przez topór zakreślane, osłaniały go jakby tarczą. Z ostrzów mieczy sypały się tysiące iskier, za



każdem zetknięciem z toporem, ale żaden nie zdołał dotknąć rozbójnika. Wyczerpany jednak niedawną walką z wilkiem, musiał się ciągle cofać, aż doszedł do progu trójkątnego wyjścia.

— Śmiało przyjaciele! — wołał hrabia — zrzućmy w przepaść tego potwora.

— Zanim mnie zrzucicie, gwiazdy tam wprawdzie spadną! — odparł rozbójnik ze śmiechem.

Tymczasem napastnicy nacierali coraz gwałtowniej, ośmieleni tem zwłaszcza, że mały człowiek cofnął się już na pierwszy stopień schodów, zawieszonych nad przepaścią.

— Śmiało! Śmiało! — wołał wielki kanclerz — napierajmy go, a musi stoczyć się w otchłań. Nie żałujcie rąk! Nędzniku, ostatnią już popełniłeś zbrodnię... Odważnie, towarzysze!

Prawą ręką wykonywając błyskawiczne obroty, rozbójnik ręką lewą ujął za róg, wiszący u jego pasa, a podniósłszy go do ust, wydał kilka ostrych, przeciągłych dźwięków, na które z przepaści odpowiedziały groźne ryki.

Niebawem też, kiedy już hrabia i jego straż, nacierająca z coraz większym impetem, zmusili Hana do zejścia o jeden stopień niżej, z przepaści wynurzył się ogromny niedźwiedź biały. Widok strasznego drapieżnika przeraził napastników — cofnęli się natychmiast.

Niedźwiedź zwolna wdrapał się po schodach, ukazując im swą paszczę skrwawioną i ostre zęby.

— Dziękuję ci, mój dzielny Friend! — zawołał bandyta, a korzystając ze zdumienia napastników, skoczył na grzbiet niedźwiedzia, który zaczął schodzić

tyłem, wyszczerzając wciąż straszną paszczę na nieprzyjaciół swojego pana.

Ochłonawszy ze zdumienia i przerażenia, patrzyli bezradni, jak niedźwiedź, unosząc bandytę z pod ich ciosów, schodził w przepaść, zapewne w ten sam sposób, jak z niej wyszedł, to jest czepiając się pni drzew i wypukłości skał. Chcieli go porazić odłamami skalnymi, ale zanim zdołali podźwignąć bryły granitowe, leżące na ziemi od wieków, rozbójnik i jego osobliwy wierzchowiec zniknęli im z przed oczu.



## XII

Nie, nie, nie śmiejmy się już. Wiesz, że to, co mi się zdawało tak zabawnem, ma także swą stronę poważną, bardzo poważną, jak wszystko na świecie!... Wierzaj mi, że słowo *traf* jest bluźnierstwem; nie pod słońcem nie dzieje się trafem. A czy nie widzisz i tutaj celu, nakreślonego przez Opatrzność?

„Emilia Galotti“.

Głęboka myśl kryje się często w tem, co ludzie nazywają trafem. We wszystkich wypadkach widnieje jakby tajemnicza ręka, która zakresła niejako ich drogę i cel. Narzekamy na kaprysy fortuny, na dziwactwa losu, a nagle z tego chaosu wypadają straszliwe błyskawice lub cudne promienie. Wtedy rozum ludzki korzy się przed wzniosłą nauką Przeznaczenia.

Tak na przykład, kiedy Fryderyk Ahlefeld popisował się w świetnym salonie przed damami kopenhaskimi swoim wytwornym strojem, stopniem i samochwalczemi słowy, gdyby wówczas zjawił się człowiek, znający przyszłość i jego lekkomyślność zaniepokoił poważną przestrogą; gdyby mu był powiedział, że ten piękny mundur, którym się pysznił, będzie powodem jego zguby; że potwór o ludzkiej postaci będzie pił

jego krew, jak on pił z rozkosznem zapomnieniem wina francuskie i czeskie; że jego włosy, dla których nie mógł dobrać pachnideł i grzebyków, będą zmiatały pył w jaskini dzikich zwierząt; że to ramię, na którym wspierały się z wdziękiem powabne damy Charlottenburga, będzie rzucone niedźwiedziowi na pastwę, jak kość dzikiej kozy: jakżeby wtenczas Fryderyk odpowiedział na to smutne proroctwo? Wybuchem śmiechu i żarciem, a to najsmutniejsze, że wszyscy, równie jak on, poczytaliby groźną wieszczbę za szaleństwo.

Zastanówmy się jeszcze głębiej nad losami zbrodni. Nikczemne zamiary hrabiostwa Ahlefeld sprowadziły na tę godną siebie parę cios okrutny. Obmyślił niegodną zasadzkę na zgubę córki więźnia; nie szczęśliwa ta trafem znajduje opiekuna, ten zaś uważa za konieczność oddalić ich syna, który miał wypełnić nikczemne zamysły rodziców. Ów syn, ich jedyna nadzieja, zostaje wysłany daleko od miejsca, w którym miał uwięzić młodą dziewczę, a zaledwie tam przybył, inny traf-mściciel na śmierć go wystawia. Tak więc, chcąc skrzywdzić najokrutniej niewinną dziewczę, występnego lecz ukochanego syna popchnęli do grobu. Z własnej przeto winy nikczemników dotknęło nieszczęście.



### XIII

Ach! otóż nasza hrabina!... Przebacz, pani, ale dzisiaj nie mogę korzystać z honoru, jaki mi czynią jej odwiedziny.. Jestem zajęty; innym razem, droga, hrabino, innym razem; dziś nie zatrzymuję pani dłużej.

„Książę i Orsina“.

Nazajutrz po odwiedzinach w Muckholm, gubernator Drontheimu wczesnym rankiem rozkazał zaprząć swoją podróżną kareta, mniemając, że zdąży wyjechać, zanim hrabina Ahlefeld wstanie. Ale hrabina spała czujnie.

Jenerał podpisał właśnie ostatnie zlecenia dla biskupa, w którego ręce jego władza przechodziła *par interim*. Wstał potem z krzesła i włożywszy surdut futrem podbity, zabierał się do wyjścia, kiedy odźwierny zameldował szlachetną kanclerzynę.

Niespodziana wizyta mieszała starego żołnierza, przywykłego śmiać się wobec kartaczy, bomb i granatów, ale nie umiejącego walczyć z podstępami i przebiegłością kobiety. Z wymuszoną też uprzejmością przywitał intrygantkę i dopiero wtedy okazał zły humor, kiedy ta, nachyliwszy się do jego ucha, zapytała poufnie:

— A więc szlachetny jenerale, cóż ci powiedział?

— Kto? Poel? Powiedział mi, że kareta wkrótce będzie gotowa — odparł jenerał dyplomatycznie.

— Mówię o człowieku uwięzionym w Muckholm, jenerale.

— A....!

— Czy badanie pańskie wypadło zadawalająco?

— Tak jest, pani hrabino — rzekł gubernator z zakłopotaniem — zupełnie zadawalająco.

— Masz zatem na to dowody, że popechnął do buntu górników?

Okrzyk oburzenia wyrwał się z piersi Lewina.

— On jest niewinny, szlachetna pani!

Nagle zatrzymał się, czuł bowiem, że słowa te podyktowało mu serce, ale nie rozum.

— Niewinny! — powtórzyła hrabina z nietajonym przestachem, obawiała się bowiem, żeby Schumacker nie dowiódł jenerałowi swej niewinności, a tem samem nie zbił oszczerstw, na których wiele zależało kanclerzowi.

Gubernator już zorientował się w położeniu; na nalegania wielkiej kanclerzyny odpowiedział tonem, który ją uspokoił, zdradzał bowiem jakby niepewność i zmieszanie.

— Niewinny... tak... jeśli pani sobie życzysz...

— Jeśli sobie życzę, jenerale? — powtórzyła intrygantka ze śmiechem.

Śmiech ten dotknął jenerała.

— Szlachetna hrabino — rzekł — pozwól, abym z mego widzenia się z byłym wielkim kanclerzem zdał relację tylko wice-królowi.

Poczem, skłoniwszy się głęboko, zszedł na dzie-



dziniec, gdzie nań czekała karetka, a wkrótce turkot jej oznajmił mieszkańcom Drontheimu, że ich prawdziwy ojciec już się od nich oddalił.

— Tak — mówiła do siebie hrabina Ahlefeld, wróciwszy do swego apartamentu — jedź, błędny rycerzu, z twoim odjazdem otwiera się nam wolne pole: wrogowie nasi nie mają przy sobie groźnego obrońcy... Jedź, twój odjazd jest znakiem powrotu dla mego Fryderyka. Bo jakże było można najpiękniejszego kawalera Kopenhagi wysyłać w te okropne góry? Na szczęście, łatwo mi teraz będzie wyjednać jego powrót.

Zwróciła się potem do swej zaufanej pokojówki.

— Kochana Elżbieto — rzekła — każ sprowadzić z Berghen dwa tuziny małych grzebyków, jakie teraz nasi eleganci noszą we włosach; dowiedz się także o nowym romansie słynnej Scudery, a nadto pilnuj, aby co rano myto różaną wodą małąkę mego drogiego Fryderyka.

— Jakto, łaskawa pani — spytała Elżbieta — czy pan Fryderyk może już powrócić?

— Tak jest, może i z pewnością powróci lada chwila. Dlatego też trzeba się postarać, żeby zastał wszystko w porządku.

Biedna matka !!

#### XIV

....Bernard biegnie po nad brzegiem Arlancy. Podobny jest do lwa, wychodzącego do myśliwych z jaskini, aby zwyciężyć lub zginąć. Poszedł Hiszpan dzielny i śmiały. Szybkim krokiem, z ostrą dzidą w ręku, w której pokłada całą swą nadzieję, Bernard dąży brzegami Arlancy.

„Romans hiszpański“.

Ordener po zejściu z wieży, z której widział latarnię muneholmską, nadaremnie poszukiwał swego przewodnika, Benignusa Spiagudrego. Długo go wołał, ale mu tylko odpowiadało echo, rozlegające się wśród zwałisk. Zdziwiony tem niepojętem zniknięciem, przypisywał je jakiemu panicznemu przestraszaniu bojaźliwego dozorey umarłych, a wyrzucając sobie z szlachetnością, że go opuścił na chwilę, postanowił przepędzić noc na skale Oelmoe, aby mu dać czas do powrotu. Posiliwszy się nieco i okrywszy płaszczem, położył się obok gasnącego ogniska, a ucałowawszy promień włosów Etheli, wkrótce zasnął; można bowiem spać z rozróżnionem sercem, jeśli tylko sumienie jest spokojne.

O wschodzie słońca był już na nogach, ale po Spiagudrym znalazł tylko tłumoczek i płaszcz pozo-



stały w wieży, co zdawało się być wskazówką jego szybkiej ucieczki. Wówczas, straciwszy nadzieję zobaczenia go, przynajmniej na skale Oelmoe, postanowił wyruszyć sam, nazajutrz bowiem trzeba było dojść do Walderhoga, aby tam zastać Hana z Islandyi.

Na początku niniejszego opowiadania wspomnieliśmy już, iż Ordener od dziecka przyzwyczajony był do trudów życia wędrownego i niebezpiecznych przygód. Przebywszy kilkakrotnie północną część Norwegii, nie potrzebował już przewodnika od czasu, jak wiedział gdzie można znaleźć rozbójnika. Skierował więc w stronę północno-zachodnią swoją samotną wędrowkę, w której nie było już Benignusa Spiagudrego, żeby mu powiedział, ile kwarcu albo spatu zawierało w sobie każde wzgórze, jakie podanie przywiązane było do każdej rudery, a wreszcie, czy ta lub owa rozpadlina pochodziła od wylewu potoku, czy też od dawnego wulkanicznego wybuchu.

Szedł dzień cały przez góry, łączące się z głównym łańcuchem, który przechodzi wzdłuż całej Norwegii, a następnie, zniżając się stopniowo, wpada do morza, wskutek czego wszystkie brzegi obfitują w przylądk i zatoki, ląd zaś dalszy w góry i doliny. Ta szczególniejsza natura gruntu jest powodem, że Norwegię porównywiają do olbrzymiego skieletu wieloryba.

Podróż w podobnym kraju wcale nie jest łatwą. Raz trzeba kroczyć przez kamieniste łożysko wyschłego strumienia; to znów przechodzić po chwiejących się mostach z pni drzew, przez drogi, które stały się iko-rytem nowo utworzonych potoków.

Ordener szedł całymi godzinami, nie spostrzegając

ani śladu obecności ludzkiej w tych miejscach nieuprząwionych i ożywionych jedynie, jakby zjawiskiem, wiatrakiem, stojącym na szczycie wzgórza, albo odgłosem dalekiej kuźni, której dym pochylał się od powiewu wiatru, jak czarny pióropusz.

Od czasu do czasu spotykał chłopca, jadącego na szpakowatym koniku, mniej może dzikim niż jego pan, albo też handlarza futer, siedzącego na saniach, zaprzężonych w dwa renifery; do tyłu sani przywiązana była długa lina, której liczne węzły, uderzając po kamieniach, miały odstraszać wilków.

Jeśli Ordener zapytał handlarza o drogę do groty Walderhoga, wędrowny kupiec, znając tylko nazwy i położenie miejsc, przez które dla swego handlu musiał przebiegać, odpowiadał obojętnie:

— Idąc ciągle w stronę północno-zachodnią, dojdiesz pan do wsi Hervalyn, przejdiesz przez potok Dotlysax i tej nocy możesz pan być w Surb, odległym tylko o dwie mile od Walherhoga.

Jeśli zaś to samo pytanie zadał wieśniakowi, ten, przejęty podaniami ludowymi i bajkami starych niewiast, kiwał tylko głową i zatrzymując swego szpakowatego wierzchowca, mówił:

— Walderhog! jaskinia Walderhoga! Tam kamienie śpiewają, kości tańczą, a szatan z Islandyi obrał ją sobie za mieszkanie. Chyba nie do jaskini Walderhoga wasza miłość dostać się pragnie?

— Właśnie tam — odpowiadał Ordener.

— Hm... to zapewne wasza miłość utraciła matkę, lub ogień spalił wasz dom, albo też sąsiad ukradł wam tłustą świnie?



— Wcale nie — przeczył młodzieniec.

— Widać, że jakiś czarownik rzucił urok na rozum waszej miłości.

— Mój pocziwcze, ja się pytam o drogę do Walderhoga.

— Ja też na to właśnie odpowiadam pytanie. Niech pana Bóg prowadzi. Ciągłe na północ! Wiem, jak pan dojdiesz, ale nie wiem, w jaki sposób stamtąd powrócisz.

Po tych słowach, wieśniak oddalał się, robiąc znak krzyża.

Do smutnej jednostajności wędrówki przyłączyła się nadto ta niedogodność, że padał od samego południa deszcz drobny i zimny, który zwiększał jeszcze trudności drogi. Ani jeden z małych ptaszków nie pokazał się w powietrzu i Ordener, zziębnięty pomimo płaszcza, widział nad swoją głową latające same tylko jastrzębie, sokoły i białozory, które na odgłos jego kroków, zrywały się nagle z pomiędzy trzciny jeziora, unosząc ryby w swoich szponach.

Noc już była zupełna, kiedy młody podróżny, przeszedłszy przez las osiczyn i brzóz, który dotyka potoku Dudlysax, przybył nareszcie do wsi Surb, gdzie Spiagudry chciał urządzić swoją główną kwaterę. Zapach smoły i dym z węgla ziemnego uprzedziły Ordenera, że zbliżał się do miejsc zamieszkałych przez rybaków. Poszedł do pierwszej chaty, którą w ciemności zdołał dojrzeć.

Wejście niskie i ciasne zamykała, według zwyczaju norweskiego, przezroczysta skóra rybia zabarwiona w danej chwili czerwonym, niepewnym światłem ogni-

ska. Stukając w drewniane ramy, drzwi te otaczające, zawołał:

— Otwórzcie, jestem podróżny!

— Wejdźcie — odpowiedział głos z wewnątrz.

Jednocześnie usługna ręka podniosła rybią skórę, poczem Ordener wszedł do schroniska rybaka norweskich wybrzeży. Był to rodzaj okrągłego szałas, zbudowanego z drzewa i ziemi, pośrodku którego płonęło ognisko, błyszczące to czerwonym płomieniem torfu, to znowu bladą jasnością sosny. Tuż obok ogniska, rybak, jego żona i dzieci, odziane nędznie, siedzieli dokoła stołu, zastawionego drewnianymi talerzami i różnymi naczyniami z gliny. Z przeciwnej strony, pomiędzy sieciami i wiosłami, dwa renifery spały na posłaniu z liści i skór; przedłużenie posłania było snąć przeznaczone dla mieszkańców domu i gości, którychby los im zdarzył. Nie od razu jednak można było rozpoznać wnętrze chaty, unoszący się tam bowiem dym ostry i ciężki, z trudnością wydobywający się przez otwór, wybity w szczycie szałas, wszystkie przedmioty okrywał zasłoną gęstą i ruchomą.

Jak tylko Ordener próg przestąpił, natychmiast rybak i jego żona wstali i przywitali go serdecznie. Wieśniacy norwescy lubią podróżnych; są oni bardzo grzeczni i niezmiernie ciekawi nowin ze świata.

— Panie — rzekł rybak — musisz uczuwać głód i zimno. Oto ogień do osuszenia twego płaszcza i smaczny rindebrod dla zaspokojenia głodu. Wasza łaskawość raczy następnie powiedzieć nam kto jest, skąd i dokąd idzie i jakie historie opowiadają kobiety w waszej okolicy.

Han z Islandyi. Tom II.



— Posilcie się panie — dodała żona rybaka — oprócz smacznego rindebrodu, o którym mówił mój mąż i pan, jest doskonały stokfisz, solony i zaprawiony tranem z wieloryba. Siadajcie, panie nieznajomy.

— A jeśli wasza łaskawość nie lubi mięsa Świętego Usupha (patrona rybaków) — mówił znów rybak — w takim razie niechaj cierpliwie poczeka, a przyrzadzimy mu pieczeń wyborną z sarny, lub przynajmniej z królewskiego bażanta. Oczekujemy właśnie powrotu najrzęczniejszego strzelca ze wszystkich trzech prowincyj. Czy nieprawda, moja dobra Maase?

*Maase*, imię, którem rybak nazwał swoją żonę, znaczy po norwesku *mewa*. Rybaczka wcale się tem mianem nie obruszyła, może dlatego, że było to jej imię prawdziwe, a może też dlatego, że wyrażało pieśszczętę.

— Z pewnością jest on najrzęczniejszym strzelcem — potwierdziła z dumą. — To mój brat, *Kennybol*. Niechaj Bóg błogosławi jego wyprawom. Przyjechał do nas na kilka dni, będziecie więc mogli, panie nieznajomy, wypić z nim kilka kubków dobrego piwa. On, jak i pan, jest w podróży.

— Dziękuję wam, zacna gospodyni — odparł *Ordener* z uśmiechem — muszę jednak poprzestać na waszym wybornym stokfiszu i kawałku niemniej smacznego rindebrodu. Nie mogę czekać na waszego brata, sławnego strzelca. Muszę odejść natychmiast.

Dobra *Maase*, niezadowolona z nagłego odejścia nieznajomego, ale szczęśliwa zarazem, że chwalił stokfisza i jej brata, zawołała:

— Bardzo pan łaskaw... ale czy podobna, żebyś nas tak prędko opuszczał?

— Muszę.

— Dążyć w góry o tak spóźnionej porze i przy tak fałnej pogodzie...

— Czynię to dla sprawy bardzo ważnej.

Odpowiedzi młodzieńca nie tylko wzbudzały wrodzoną ciekawość gospodarzy, ale ich zarazem dziwiły.

Rybak przeto powstał i rzekł:

— Jesteś pan u Krzysztofa *Buldusa Braalla*, rybaka, ze wsi *Surb*.

Żona dodała:

— Ja zaś jestem *Maase Kennybol*, jego żona i sługa.

Wieśniacy norwescy, chcąc zapytać nieznajomego o nazwisko, mają zwyczaj wymieniać mu swoje.

— Ja — odpowiedział *Ordener* — jestem podróżny, który nie może być pewnym ani swego imienia, ani drogi, po której dąży.

Szczególna ta odpowiedź widocznie nie zadawała rybaka *Braalla*.

— Na koronę *Gormona Starego* — rzekł — sądziłem, że w tej chwili jeden jest tylko człowiek w Norwegii, który nie może być pewnym swego nazwiska. To szlachetny baron *Thorvick*, który, jak mówi, będzie się teraz nazywał hrabią *Danneskiold*, a to wskutek małżeństwa z córką kanclerza. Taką przynajmniej wiadomość przyniesiono nam świeżo z *Drontheimu*. Winszuję ci, panie nieznajomy, tego podobieństwa do syna wice-króla, wielkiego hrabiego *Guldenlewa*.



— Jeśli wasza łaskawość — dodała z zacięciem żona rybaka — nie może nam nic powiedzieć co się dotyczy jego osoby, to przynajmniej, czy nie raczy objaśnić, co się tam dzieje obecnie na świecie? Radziłyśmy coś więcej usłyszeć o tem sławnym małżeństwie, o którym właśnie mój mąż i pan wspominał.

— Tak — rzekł znowu rybak z powagą — to najświeższa nowina. Przed upływem miesiąca, syn wice-króla zaślubi córkę wielkiego kanclerza.

— Bardzo o tem wątpię — odparł Ordener.

— Pan o tem wątpisz? Ależ ja panu mogę zaręczyć, że to rzecz niewątpliwa. Mówił mi o tem człowiek, który to słyszał od pana Poela, ulubionego kamerdynera szlachetnego barona Thorvick, to jest raczej szlachetnego hrabiego Danneskiöld. Czyżby jaka burza zamąciła wodę przez sześć dni? Ten głośny związek miałby być zerwanym?

— Tak sędzę — potwierdził młodzieniec z uśmiechem.

— Jeśli tak, to się pan bardzo mylisz. Nie należy zapalać ognia dla smażenia ryby, dopóki się za nią sieć nie zamknie. Ale czyż to zerwanie jest tak pewne? Od kogo pan o tem słyszał?

— Od nikogo — rzekł Ordener. — Ja tylko sam tak sobie układam w swej głowie.

Słyszając te naiwne słowa, rybak, pomimo wrodzonej Norwegczykom grzeczności, nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Przebaczenie, panie. Ale łatwo odgadnąć, że pan jesteś podróżnym, a może i cudzoziemcem. Czyż pan sobie wyobrażasz, że wypadki pójdą według pań-

skiego rozumowania, a na świecie wyjaśni się lub zachmurzy według jego woli?

Tutaj rybak, wtajemniczony w sprawy publiczne, jak wszyscy wieśniacy norwescy, zaczął tłumaczyć Ordenerowi: z jakich mianowicie powodów małżeństwo to musi przyjść do skutku, to jest, że tego wymagały interesy rodziny Ahlefeldów i że wice-król nie mógł odmówić królowi, który tego pragnął. Nadmieniał także, że prawdziwa miłość łączy przyszłych małżonków. Jednem słowem, rybak Braall nie wątpił, że ten związek musi dojść do skutku i chciałby być — jak mówił — równie pewnym, iż mu się uda nazajutrz zabić przekłętą psa morskiego, który ogromne robił szkody w jeziorze Master-Bick.

Ordener nie czuł się usposobionym do prowadzenia rozmowy o sprawach publicznych z tak silnym politykiem, a przybycie nowej osoby wydobyło go z kłopotu.

— To on, to mój brat! — zawołała stara Maase.

Dla wyrwania jej z niemego podziwienia, z jakim słuchała słów swego męża, potrzeba było przybycia brata.

Dzieci radośnie witały wuja, a rybak, podając mu rękę, rzekł z powagą:

— Witaj nam bracie.

Później, zwracając się do Ordenera, dodał:

— Panie, to nasz brat, sławny strzelec Kennybol z gór Kole.

— Witam was serdecznie — rzekł góral, zdejmując czapkę z niedźwiedziej skóry. — Bracie, nie wiedzie mi się polowanie na waszych brzegach, jak



zapewne tobie nie udałoby się połów w naszych górach. Zdaje mi się, że łatwiej napelnilbym swą torbę polując na złe duchy w mglistych lasach królowej Maab <sup>1)</sup>. Siostró Maase, ty jesteś pierwszą mewą, której dzisiaj zbliżka mogę powiedzieć dzień dobry. Patrzcie moi przyjaciele, niech was Bóg zachowa w spokoju, oto dla tego nędznego cietrzewia, pierwszy strzelec w Drontheimhuus aż do tej chwili i to na taki czas przebiegał leśne wzgórza.

Mówiąc to, wydobyl z myśliwskiej torby i położył na stole cietrzewia, twierdząc przytem, że ptak tak nędzny nie wart był naboju dobrej strzelby.

— Wierna rusznico Kennybola — dodał półgłosem — będziesz polowała na grubszą zwierzynę. Jeśli dziś nie przebijasz skór kozie i łosi, za to jutro może przeszywać będziesz zielone kaftany i czerwone kurty.

Słowa te poruszyły ciekawą Maase.

— Co ty mówisz, mój dobry bracie? — zapytała.

— Mówię, że zawsze jakiś dyabełek tańczy pod językiem kobiecym.

— Masz słuszność, bracie Kennybol — zawołał rybak. — Te córki Ewy tak są wszystkie ciekawe, jak ich matka. Wszak mówiłeś o zielonych kaftanach?

— Bracie Braall — odparł strzelec z niezadowoleniem — tajemnice swoje powierzam tylko memu muskietowi, ponieważ pewny jestem, że ich nie powtórzy.

— Mówią we wsi — ciągnął niezmieszany rybak — o powstaniu górników. Bracie, czyżbyś co o tem wiedział?...

<sup>1)</sup> Królowa wieszczek.

Góral nasunął czapkę na oczy, a rzucając na nieznajomego podejrzliwe spojrzenie, nachylił się do rybaka i rzekł z cicha lecz dobitnie:

— Milczenie!

Rybak pokiwał głową.

— Bracie Kennybol — rzekł — chociaż ryba milczy, to jednak wpada do sieci.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Bracia spoglądali na siebie znacząco, dzieci skubały leżącego na stole cietrzewia, rybaczka oczekiwała, czy co nie usłyszy, Ordener zaś przypatrywał się wszystkiemu z uwagą.

— Jeżeli dzisiaj nieszczególną macie wieczercę — rzekł nagle strzelec, widocznie chcąc zmienić przedmiot rozmowy — za to jutro będzie weale inaczej. Bracie Braall, możesz nałowić ryb, a ja przyrzekam ci do ich przysprawy tłuszc niedźwiedzi.

— Niedźwiedzi tłuszc — zawołała Maase. — Czyż niedźwiedź pokazał się w okolicy?... Patrick, Curter, dzieci moje, zabraniam wam wychodzić z chaty... Niedźwiedź!

— Uspokój się siostró; jutro już nie będziesz miała się czego obawiać. Tak, w samej rzeczy, o dwie mile od Surb widziałem niedźwiedzia. Niedźwiedzia białego. Zdawało mi się, że unosił człowieka, albo raczej jakieś zwierzę. Ale nie, to musiał być strzelec dzikich kóz, bo strzelcy ci ubierają się w skóry dzikich zwierząt. Oddalenie zresztą nie pozwoliło mi odróżnić... To mnie tylko dziwi, że łup swój niósł na grzbiecie, a nie w zębach.

— Czy doprawdy, mój bracie?



— Tak jest i pewnie zwierzę to już nie żyło, nie broniło się bowiem.

— Ależ — zapytał trafnie rybak — jeśli nie żyło, to w jakiż sposób trzymało się na na grzbiecie niedźwiedzia?

— Tego właśnie nie mogę zrozumieć. W każdym razie była to ostatnia uczta niedźwiedzia. Wchodząc do wsi, uprzedziłem sześciu tegich towarzyszków. Jutro więc, siostró Maase, przyniosę ci najpiękniejsze białe futro, jakie kiedykolwiek można było widzieć na śniegach gór.

— Strzeż się, bracie — rzekła kobieta — ty w samej rzeczy coś szczególnego widziałeś. Ten niedźwiedź to może dyabeł?...

— Czyś oszalała — przerwał góral ze śmiechem. — Dyabeł miałby się przemienić w niedźwiedzia! W kota, w małpę, to być może, bo to się przecie zdarzało; ale w niedźwiedzia! Na Świętego Eldona Egzorcystę, nawet dzieci i stare baby mogłyby się litować nad twoją zabobonnością.

Skarcona kobieta spuściła głowę.

— Czcigodny bracie, byłeś moim panem, zanim szanowny mój mąż zwrócił na mnie swe oczy; czyni przeto tak, jak ci twój anioł stróż podszeptnie.

— A w której stronie spotkałeś tego niedźwiedzia? — zapytał rybak.

— W kierunku Smiasen, około grotty Walderhoga.

— Walderhoga! — zawołała rybaczka, żegnając się.

— Walderhoga! — powtórzył Ordener.

— Ależ, mój bracie — rzekł rybak — ty przecież, spodziewam się, nie szedłeś do grotty Walderhoga?

— Ja? Zachowaj mnie Boże! To niedźwiedź tam szedł.

— I jutro pójdziesz go tam szukać? — przerwała Maase z przestachem.

— Ależ nie. Zresztą, moi przyjaciele niepodobna przypuścić, ażeby nawet niedźwiedź ośmielił się szukać schronienia w jaskini, gdzie...?

Nie dokończył, a wszyscy troje przeżegnali się.

— Masz słuszość — potaknął rybak — jest jakiś instynkt, który zwierzęta uprzedza o *tych* rzeczach.

— Moi dobrzy ludzie — rzekł Ordener — powiedzcie mi, co jest tak przestraszającego w tej grocie Walherhoga?

Zapytani spojrzeli po sobie niemal oślepiali ze zdziwienia, jak gdyby nie mogli zrozumieć podobnego zapytania.

— Wszak to tam jest grób króla Waldera? — dodał młodzieniec.

— Tak — odparła rybaczka — grób zbudowany z kamieni, które czasem śpiewają.

— I to jeszcze nie wszystko — zauważył rybak.

— O nie! — mówiła dalej rybaczka — w nocy widziano tam nieraz tańczące kości nieboszczyków.

— A i to jeszcze nie wszystko — odezwał się góral.

Potem zamilkli, jak gdyby nie śmieli mówić dalej.

— No i cóż tam jest więcej nadnaturalnego? — zapytał znowu Ordener.

— Młodzieńcze — rzekł poważnie góral — nie odzywaj się tak lekkomyślnie, skoro widzisz, że ja, stary i siwy wilk, drzę, kiedy o tem mówię.



Na to Ordener odpowiedział z łagodnym uśmiechem:

— Chciałbym jednak wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w grocie Walderhoga, ponieważ tam właśnie idę.

Słowa te przejęły strachem słuchających.

— Do Walderhoga! O nieba! pan idziesz do Walderhoga? — zawołał rybak. — I mówisz to takim głosem, jak gdyby kto inny powiedział: — Idę do Loevig, aby tam sprzedać dorsze! — albo na dolinę Ralpa, na półów śledzi! — Do Walderhoga, wielki Boże!

— Nieszczęśliwy młodzieńcze! — dodała kobieta — urodziłeś się widać bez anioła stróża! Żaden święty z nieba śnać nie jest twym patronem! Można to przypuszczać, gdyż sam powiedziałeś, że nie jesteś pewny swego imienia.

— A jakiż cel — przerwał góral — może prowadzić waszą łaskawość do tego strasznego miejsca?

— Mam ważnej rzeczy zażądać od kogoś — odpowiedział Ordener.

— Panie nieznajomy — rzekł rybak — zdajesz się nie znać dokładnie tego kraju. Czy się nie mylisz? Bo być nie może, abyś miał zamiar iść do groty Walderhoga.

— Jeśli przytem — dodał góral — chcesz pan mówić z ludzką istotą, to nie znajdziesz tam nikogo...

— Oprócz szatana — dokończyła rybaczką.

— Szatana! Jakiego szatana?

— Tego, dla którego grób śpiewa i tańczy nieboszczyki.

— Pan widać nie wiesz — rzekł rybak głos

zniżając i zbliżając się do Ordenera — że groty Walderhoga zamieszkuje...

— Mężu mój i panie — przerwała kobieta — nie wymawiaj tego imienia, ono przynosi nieszczęście.

— Kto zamieszkuje? — spytał Ordener.

— Belzebub wcielony — rzekł Kennybol.

— Doprawdy, moi dobrzy ludzie, nie wiem zupełnie o czem mówicie. Powiedziano mi przecie, że w grocie Walderhoga zamieszkuje Han z Islandyi...

Potrójny okrzyk przestachu rozległ się w chacie.

— Jak to! pan wiesz... To właśnie ten szatan!

Żona rybaka upewniała po cichu wszystkich świętych, że to nie ona wymówiła to imię.

Kiedy rybak ochłonął nieco ze zdumienia, spojrzał uważnie na Ordenera, jak gdyby widział coś, czego nie mógł zrozumieć.

— Mniemałem, panie podróżny — rzekł — że choćbym miał żyć dłużej jeszcze niż mój ojciec, który umarł mając sto dwadzieścia lat wieku, to jednak nie będę wskazywał drogi do Walderhoga człowiekowi, obdarzonemu rozumem i wierzącemu w Boga.

— Niewątpliwie! — zawołała Maase — ale jego łaskawość nie pójdzie przecie do tej groty przeklętej, bo aby tam stąpić nogą, chyba trzeba mieć zamiar z dyabłem wejść w umowę.

— Pójdę, moi dobrzy ludzie, a największą możecie mi oddać usługę, wskazując drogę właściwą.

— Jeśli pan chcesz iść najkrótszą drogą — rzekł rybak — to rzuć się z wierzchołka skały do pierwszego lepszego potoku, gdyż to na jedno wychodzi.



— Czy godzi się śmierć bezużyteczną stawiać na równi z celem ważnym, chociaż niebezpiecznym? — zapytał Ordener.

Braall pokiwał głową, jego zaś brat zwrócił na młodzieńca badawcze spojrzenie.

— Rozumiem — zawołał nagle rybak — pan chcesz zarobić tysiąc talarów królewskich, które wysoki syn dyk naznaczył za głowę tego szatana z Islandyi.

Ordener uśmiechnął się.

— Panie mój — mówił dalej rybak ze wzruszeniem — usłuchaj nas i wyrzeknij się tego zamiaru. Jestem biedny i stary, a jednak za pańskie tysiąc talarów nie dałbym resztki swojego życia, choćby to był dzień tylko jeden.

Błagające i życzliwe spojrzenie żony rybaka śledziło, jaki skutek wywrze na nieznanym prośba jej męża. Ordener spiesźnie odparł:

— Nader ważna sprawa zmusza mnie do szukania rozbójnika, którego wy nazywacie szatanem; robię to dla innych, a nie dla siebie...

Góral, który ani na chwilę nie spuścił oczu z Ordenera, nie pozwolił mu dokończyć.

— Teraz pana rozumiem — rzekł — i wiem, dlaczego szukasz szatana islandzkiego.

— Chcę go zmusić do walki — rzekł młodzieniec

— Tak jest — potwierdził Kennybol — dano panu bardzo ważne zlecenie, nieprawdaż?

— Jużem to powiedział.

Po tych słowach, góral zbliżył się do Ordenera z oznakami porozumienia i, na wielkie jego zdziwienie, rzekł półgłosem:

— Wszak to dla hrabiego Schumackera Griffenfelda?

— Skąd to wiecie? — zawołał Ordener.

Trudno było w samej rzeczy zrozumieć, jakim sposobem góral norweski mógł wiedzieć o tajemnicy, której Ordener nie powierzał nikomu, nawet jenerałowi Lewinowi.

Kennybol nachylił się ku niemu.

— Życzę powodzenia — rzekł tym samym tajemniczym głosem — jesteś pan szlachetnym młodzieńcem, skoro służyysz sprawie uciśnionych.

Zdziwienie Ordenera tak było wielkie, że zaledwie mógł zapytać górala, skąd wiedział o celu jego podróży.

— Cicho — rzekł Kennybol, kładąc palec na ustach — mam nadzieję, że pan otrzymasz od mieszkańca Walderhoga to, czego żądasz; moje ramię, jak i pańskie, poświęcone jest dla munckholmskiego więźnia.

Następnie podnosząc głowę, zanim Ordener zdołał odpowiedzieć, mówił dalej:

— Bracie, siostrze Maase, przyjmijcie tego zacnego młodzieńca, jak własnego brata. No, a teraz zdaje mi się, że wieczera już gotowa...

— Co! — przerwała Maase — czy namówiłeś jego łaskawość, aby się wyrzekł zamiaru odwiedzenia szatana?

— Siostrze, módl się, żeby mu się nie złego nie przytrafiło. Jest to szlachetny i godny młodzieniec. A teraz, młody panie, posil się nieco i spocznij z nami. Jutro wskażę ci drogę i pójdziemy szukać — pan swego dyabła, a ja mojego niedźwiedzia.



## XV

Są nieszczęścia, w których nawet obecność nieprzyjaciela może stać się przyjemną.

*Calderon* „Księżę niezłomny.“

Zaledwie pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły wierzchołki skał, leżących nad morzem, kiedy rybak, przybyły o świetle dla zarzucenia sieci w odległości kilku muszkietowych strzałów od brzegu, wprost wejścia do groty Walderhoga, widział, jak jakaś postać, odziana płaszczem czy całunem, schodziła po zboczach i nareszcie znikła pod tajemniczymi sklepieniami jaskini. Przejęty strachem, duszę swą polecił Świętemu Usuphowi i pobiegł opowiedzieć rodzinie że widział jedno z widm, zamieszkujących siedzibę Hana z Islandyi, o wschodzie słońca wchodzące do groty.

Widmem tem, przyszłym przedmiotem nieskończonych opowieści wieśniaków podczas długich wieczorów zimowych, był Ordener, który w chwili, kiedy oba królestwa sądziły, że się zaleca do swej dumnej narzeczonej, narażał życie dla tej, której oddał swe serce i przyszłość: dla córki nieszczęśliwego więźnia.

Smutne przeczucia i złowieszcze wróżby towarzyszyły mu do celu jego podróży. Gdy opuszczał chatę

pocziwego rybaka, wszyscy go błogosławili, dobra Maase długo modliła się za niego, stojąc na progu chaty. Góral Kennybol i jego sześciu towarzyszy, którzy mu wskazali drogę, rozeszli się z nim o pół mili od groty Walderhoga, a ci nieustraszeni strzelcy, dążący na spotkanie ze strasznym drapieżnikiem, jak na wesołą zabawę, trwożnie spoglądali za zagadkowym młodzieńcem, który tak śmiało udawał się do przekletej groty.

Ordener wszedł do groty Walderhoga, jak się wchodzi do portu oddawna upragnionego. Doznawał niewypowiedzianej radości na myśl, że miał spełnić tak święte zadanie i że za chwil kilka wyleje może krew swoją dla ukochanej Etheli. Chociaż wkrótce miał uderzyć na rozbójnika, przed którym drżała cała prowincya, na potwora, szatana może, jednak nie jego straszliwa postać zjawiała się w jego wyobraźni. Widział on tylko obraz uwieszonej dziewczyny, modlącej się za niego przed ołtarzem więzienia. Gdyby poświęcał się dla kogo innego, nie dla niej, byłby może pomyślał przez chwilę o niebezpieczeństwach, do których z tak daleka przychodził, choćby dlatego, żeby niemi pogardzić; ale czy podobna myśl może się znaleźć w młodem sereu w chwili, kiedy ono bije podwójnem uniesieniem: szczytnego poświęcenia i szlachetnej miłości?

Postępował z głową wniesioną pod czarnymi sklepieniami, o które odbijały się odgłosy jego kroków, rozechodząc się potem posępnem, długotrwałem echem wśród zalegających przestrzeni ciemności. Idąc, nawet nie rzucił okiem na stalaktyty, na wiekowe bazalty, wiszące po nad jego głową pomiędzy mchami, porosta-



mi i bluszczami. Chaotyczne nagromadzenie tych dziwacznych kształtów zabobonna łatwowierność wieśniaków norweskich zaludniała gromadami szatanów i widm...

Przeszedł z równą obojętnością około grobu króla Waldera, z którym łączyły się tak smutne podania, a nie słyszał innego głosu, oprócz świstu wiatru, uderzającego o ściany posępnych korytarzy.

Szedł dalej pod krzywymi arkadami, słabo oświetlonymi przez rozpadliny nawpół zarosłe chwastami i krzewami. Stopy jego potraçały często o jakieś szczątki, które staczały się po skale z głuchym dźwiękiem, a wśród ciemności przybierały kształty rozbitych czaszek, albo długich rzędów białych zębów.

Nie czuł wcale obawy. Dziwił się tylko, że dotąd nie napotkał groźnego mieszkańca tej straszliwej groty.

Przybył nareszcie do rodzaju okrągłej sali, wykutej w skale. Tam kończyła się podziemna droga, po której szedł dotychczas, a w ścianach sali nie było innego otworu, oprócz szerokich szpar, przez które można było widzieć góry i lasy.

Zdziwiony zupełną pustką, zaczął już tracić nadzieję spotkania rozbójnika. Naraz pomnik szczególniejszego kształtu zwrócił jego uwagę. Trzy wielkie, podługne głazy, stojąc na ziemi, podtrzymywały czwarty, szeroki i kwadratowy, co razem wyglądało jak trzy filary z dachem. Pod tym olbrzymim trójnogiem wznosił się ołtarz, utworzony z jednej sztuki granitu, otworem pośrodku. W pomniku tym Ordener poznał

jeden z druidycznych zabytków, jakich wiele widział już podczas swych podróży po Norwegii.

Młodzieniec, pogrążony w marzeniu, oparł się machinalnie o ołtarz, którego kamień zezerniał prawie zupełnie, tak przesiąkł krwią z ludzkich ofiar.

Nagle zadrżał — uszu jego bowiem doszedł głos, jakby wychodzący z kamienia:

— Młodzieńcze, przyniosły cię tutaj nogi, co już dotykają grobu...

Usłyszawszy to, Ordener zerwał się spiesźnie, uchwycił szablę i wsłuchiwał się w echo, które powtarzało grobowo ponurą przestrozę w głębokości jaskini:

— „Młodzieńcze, przyniosły cię tutaj nogi, co już dotykają grobu...”

W tej chwili z drugiej strony druidycznego ołtarza wychyliła się straszliwa głowa z rudymi włosami.

Głowa ta, śmiejąc się szatańsko, powtórzyła znów:

— Tak zaiste, młodzieńcze, przyniosły cię tutaj nogi, które już dotykają grobu.

— Nogi te przyniosły rękę, która dotyka miecza — odparł Ordener spokojnie.

Z pod ołtarza wysunęła się mała, potworna postać, a Ordener dojrzał jej barki silne, rozrosłe, odzież ze skrwawionych skór zwierzęcych i rękę masykularną uzbrojoną w długie, zakrzywione pazury oraz ciężką siekiere kamienne.

— To ja! — rzekł ów potwór z pomrukiem dzikiego zwierza.

— To ja! — odpowiedział Ordener.

Han z Islandyi, t. II.



— Czekalem na ciebie.

— Zrobilem wiecj — rzekl mlodzienc — gdyz szukalem cie.

Rozbójnik zalozył ręce na piersiach.

— Czy wiesz, kto jestem?

— Wiem.

— I nie lękasz się?

— Teraz już się nie lękam.

— Bałeś się więc, idąc tutaj? — zapytał potwór, podnosząc głowę dumnie.

— Obawialem się, że cie może nie spotkam.

— Wyzywasz mnie, a nogi twoje potraçały przed chwilą o trupy ludzi, przeze mnie zabitych.

— Jutro, być może, o twój trup potraça.

Mały człowiek zatrząsł się z gniewu. Ordener zachował postawę spokojną i pewną siebie.

— Strzeż się! — wyszeptał wreszcie chrapliwie rozbójnik — spadnę na ciebie, jak grad norweski na dach z sitowia...

— Przeciw tobie nie potrzeba mi innego puklerza.

W spojrzeniu Ordenera było coś, co imponowało potworowi i upokarzało go. Zaczął wyrywać pazurami sierć ze swego płaszcza, jak tygrys, który szarpie trawę, zanim rzuci się na swą ofiarę.

— Dajesz mi poznać, co to jest litość...

— A ty, co to jest pogarda.

— Dziecko! głos twój słodki a twarz świeża, jak głos i twarz młodej dziewczyc: jaką śmierć sobie wybierasz?

— Twoją.

Mały człowiek roześmiał się.

— Ty nie wiesz, że jestem szatanem, że duch mój jest duchem Ingolpha Tępicielea?

— Wiem, że jesteś rozbójnikiem, który popełnia morderstwa dla złota.

— Mylisz się — przerwał potwór — nie dla złota, lecz dla krwi.

— Czy nie byłeś zapłacony przez Ahlefelda za zabicie kapitana Dispolsena?

— O czym mówisz? Co to za nazwiska?

— Nie znasz kapitana Dispolsena, którego zamordowałeś na płaszczyźnie Urchtal?...

— Być może, ale zapomniałem o nim tak, jak i o tobie za trzy dni zapomnę.

— Nie znasz hrabiego Ahlefelda, który zapłacił ci za wydarcie kapitanowi żelaznej szkatułki?

— Ahlefeld! Poczekaj... Tak, znam go. Wczoraj piłem krew jego jedynaka z czaszki mojego syna.

Ordener wstrząsnął się ze zgrozy.

— Czyś nie był zadowolony z zapłaty?

— Z jakiej zapłaty? — zapytał rozbójnik.

— Twój widok wstrętem mnie przejmuję. Trzeba raz skończyć. Wszak przed tygodniem skradłeś żelazną szkatułkę jednej z twoich ofiar oficerowi munckholmskiego pułku?

Na te słowa rozbójnik żywo się poruszył.

— Oficer munckholmskiego pułku! — szepnął, a po chwili zagadnął, wpatrując się w młodzieńca płomiennym wzrokiem: — Może i ty także jesteś oficerem tego pułku?

— Nie! — odparł Ordener.



— Tem gorzej! — mruknął rozbójnik, przyczem twarz mu się zachmurzyła.

— Czy odpowiesz — dopytywał uporeczywie Ordener — gdzie jest szkatułka, którą skradłeś kapitanowi?

Mały człowiek zdawał się przez chwilę zastanawiać.

— A na Ingolpha! to ta nędzna skrzynka żelazna tylu ludzi zajmuje... Upewniam cię, że prędzej znajdą trumnę z twemi kośćmi, jeżeli tylko je kto do niej złoży, niż ową skrzynkę.

Z odpowiedzi tej wynioskował Ordener, że rozbójnik zna poszukiwaną przez niego szkatułkę, powziął przeto nadzieję co do jej odzyskania.

— Powiedz mi — rzekł — coś z tą szkatułką zrobił? Czy jest ona teraz w posiadaniu hrabiego Ahlefelda?

— Nie.

— Śmiejesz się, więc kłamiesz.

— Myśl, co ci się podoba. Co mnie to obchodzi?

Potwór odpowiadał szyderczo i uragliwie, Ordener przeto powziął przekonanie, że usiłuje go w błąd wprowadzić. Trzeba go zatem było, chcąc wydobyć prawdę, rozwścieklić lub przestraszyć. Odezwał się więc podniesionym głosem:

— Musisz oddać tę szkatułkę!

Potwór wybuchnął śmiechem.

— Musisz mi ją oddać! — powtórzył młodzieniec nakazująco.

— Czyś przywykł rozkazywać turom i niedźwiedzim? — zapytał potwór wciąż się śmiejąc uragliwie.

— W razie potrzeby, nie zawaham się rozkazywać szatanowi w piekle!

— Będziesz to mógł uczynić za chwilę.

Ordener dobył szabli, która zajaśniała w ciemnościach, jak błyskawica.

— Bądź posłusznym! — zawołał.

— No, no — odparł mały człowiek, wstrząsając siekierą — mogłem zdruzgotać kości twoje i wypić krew twoją, jak tylko tutaj przybyłeś; wstrzymałem się jednak, bo chcę zobaczyć, jak wróbel uderzy na sępa.

— Nędzniku! — krzyknął Ordener — broń się!

— Pierwszy raz słyszę tak zuchwałe słowa — zawołał rozbójnik ponuro.

Powiedziawszy to, wdrapał się na ołtarz granitowy i skurezył się, jak lampart czyhający na myśliwego, kiedy ze szczytu skały przygotowuje się skoczyć na niego niespodzianie.

Z owej wyniosłości, bacznie śledził wzrokiem przeciwnika, znać rozważając, z której strony go zaćzepić. Ordener zginałby niechybnie, gdyby się ociągnął choć chwilę. Ale nie dał on rozbójnikowi czasu do namysłu i rzucił się na niego, kierując ostrze swojej szabli ku jego twarzy.

Rozpoczęła się walka zajądła. Mały człowiek, stojąc na ołtarzu, jak statua na piedestale, wydawał się jednym z tych bożyszczyk straszliwych, które w wiekach pogańskich odbierały w tem samem miejscu ofiary i daniny. Jego ruchy tak były zwinne i szybkie, że z którejkolwiek Ordener zaatakował go strony, napotykał zawsze jego twarz potworną i ostrze jego sie-



kiery. Przy pierwszym zaraz starciu byłby napewno porąbany w sztuki, gdyby, natchniony szczęśliwą myślą, nie owinał był płaszczem swej lewej ręki; ten wątył puklerz zasłonił go jednak od gwałtownych ciosów wroga.

Przez kilkanaście minut usiłowali bezskutecznie ranić się wzajem. Siwe, błyszczące oczy małego człowieka zdawały się wychodzić z oprawy. Zdziwiony, że z tak wielką siłą i odwagą walczył przeciwnik napozór tak słaby, nie śmiał się już dziko, a twarz jego przybrała wyraz posępnej wściekłości. Kamienne okrucieństwo, malujące się na twarzy potwora i nieustraszony spokój, którym jaśniało oblicze Ordenera, tworzyły rażącą sprzeczność z szybkością ich poruszeń i gwałtownością ataków.

Przez pewien czas, nie słychać było innego dźwięku oprócz szczęku oręża, gwałtownych kroków młodzieńca i ciężkiego oddechu obu walczących. Nagle potwór straszliwie zaryczał. Ostrze jego siekiery zaplatało się w zwojach płaszcza Ordenera. Wyprężył się, szarpnął gwałtownie ręką, a przez to bardziej jeszcze zaplatał w płaszczu przeciwnika broń swoją. Każde nowe szarpnięcie pogarszało jego położenie.

Wreszcie rozbójnik uczuł, że żelazo młodzieńca dotyka jego piersi.

— Zapytuję cię raz jeszcze — odezwał się zwycięski Ordener — czy oddasz mi szkatułkę, którą tak podle ukradłeś zamordowanemu kapitanowi?

Mały człowiek milczał przez chwilę, poczem ryknął chrapliwie:

— Jeszcze raz odpowiadam: nie i bądź przeklęty! Ordener, nie zmieniając groźnej postawy, znów przemówił:

— Zastanów się, nieszczęśliwcze!

— Nie! Nigdy! — powtórzył z zawziętością rozbójnik.

Młodzieniec opuścił szablę.

— A więc — rzekł — odczep siekiere od zwojów mego płaszcza, ażebyśmy mogli zacząć walkę na nowo.

Pogardliwy śmiech był odpowiedzią potwora.

— Dziecko, bawisz się we wspaniałomyślność, której wcale nie potrzebuję.

I zanim zdziwiony Ordener zdołał myśl rozbójnika odgadnąć, ten skoczył na jego ramię, a potem jednym susem znalazł się w głębi groty. Uczyniwszy to, rzucił się z błyskawiczną szybkością na Ordenera i zawisł na nim jak pantera, kiedy się czepia paszczą i szponami boku lwa. Jego długie pazury zatopiły się w ramionach młodzieńca; zgięte jego kolana ścisnęły biodra przeciwnika, a ohydna twarz zbliżała się do oblicza Ordenera z rozwartymi ustami i wyszczerzonymi zębami, gotowymi do rozszarpania ofiary. Nie mówił nic — tchnął tylko ciężko, z jego przepełnionej wściekłością piersi wydobywały się głuche pomruki. Był w tej chwili nad wszelki wyraz straszny, zatracił wszelkie cechy ludzkie. Okrucieństwo dzikiego zwierza połączyło się w nim z grozą i potwornością szatana.

Ordener zachwiał się pod ciężarem napastnika i byłby upadł zaskoczony niespodziewanym naciskiem,



gdyby się po za nim nie znalazł jeden z druidycznych słupów, o który się oprzeć zdołał. Przeciśnięty do słupa, dusił się niemal w uściskach rozbójnika.

Nie zadrżał jednak, trwoga nie miała doń przystępu. Myślą żegnał swoją Ethelę, a ta myśl stała się dla niego pocieszającą modlitwą, wróciła mu siły. Objął potwora obydwiema rękami, potem chwyciwszy swoją szablę, jej ostrze wbił prostopadle w jego plecy. Raniony zbrojny krzyknął przeraźliwie, jednym skokiem, który zachwiał Ordenerem, wyrwał się z rąk swego nieustraszonego przeciwnika i o kilka kroków dalej upadł, unosząc w zębach kawał zielonego płaszcza, który szarpał z wściekłości.

Lecz zaledwie upadł, już w oka mgnieniu był na nogach. A zerwał się bez cienia znużenia, zręczny i zwinny, jak młoda koza, i walka rozpoczęła się po raz trzeci, z większą jeszcze zjadłością. Tuż przy miejscu, gdzie się teraz znalazł, leżała gromada odłamów skalnych, wśród których mchy i ciernie krzewiły się bujnie od wieków. Dwóch ludzi zwykłej siły zdołałoby zaledwie podnieść najmniejszy z tych odłamów. Rozbójnik chwycił bez żadnego wysiłku jeden z nich w obie ręce, podniósł nad głowę, zamierzając się nim na Ordenera. Spojrzenie jego w tej chwili było okropne. Nareszcie głaz, rzucony gwałtownie, runął ciężko. Ordener zaledwie zdołał się usunąć. Odłam granitu rozbił się na szczątki z groźnym łoskotem, który echo powtarzało długo w głębokich zakątkach groty.

Zaledwie Ordener ochłonął z odurzenia, a już nowa bryła kołysała się w rękach rozbójnika. Wyprowadzony z równowagi młodzieniec, rzucił się ku ma-

łemu człowiekowi z podniesioną szablą, aby przerwać to kamienowanie, w tej chwili jednak wielka bryła spadła na ostrze jego szabli i strzaskała je, jak szkła kawałek. Jednocześnie dziki śmiech rozległ się pod sklepieniem groty.

Ordener był rozbrojony.

— Czy przed śmiercią masz co do powiedzenia Bogu, albo szatanowi? — zawołał potwór drwiąco.

Jego oczy rzuciły błyskawice, płonęły wściekłością i radością. Nie czekając odpowiedzi, poskoczył po siekiere, zostawioną na ziemi w zwojach płaszcza...

Biedna Ethell!

Nagle daleki ryk dał się słyszeć zewnątrz jaskini. Potwór zatrzymał się. Tam, zewnątrz jaskini, coś niezwykłego się dzieje. Słychać głosy ludzkie, połączone z żalosnymi rykami niedźwiedzia. Rozbójnik przysłuchuje się. Żalosne ryki trwają wciąż. Han z Islandyi chwytą za siekiere i biegnie, ale nie ku Ordenerowi, lecz ku jednej z rozpadlin w ścianach jaskini, przez którą wdierało się światło dzienne. Ordener niewymownie tym zwrotem zdziwiony, szybko przysuwa się ku innej rozpadlinie i przez nią spostrzega na blizkiej łące wielkiego niedźwiedzia białego, otoczonego przez siedmiu strzelców, a wśród nich Kennybola, którego słowa wczoraj tak go zastanowiły. Po chwili odwraca się: rozbójnika niema już w jaskini, słyszy tylko jego głos straszny, wołający:

— Friend! Friend! idę do ciebie! oto jestem!



## XVI

Pocziwy Piotruś wszystko przegrał w kości.

*Regnier.*

Pułk muszkieterów munckholmskich dąży przez wąwozy, leżące między Drontheim i Skongen. Raz maszeruje brzegiem strumienia i widać wówczas szereg bagnietów, wdzierających się na wzgórze, podobnych do gadu, którego łuski błyszczą od słońca; to znowu wężykiem okraża górę, podobną wówczas do tryumfalnej kolumny, otoczonej tłumem postaci z brązu.

Żołnierze idą ze spuszczoną głową, w zarzuconych płaszczach, z miną gniewną i znudzoną, ponieważ ci dzielni mężowie lubią tylko walkę albo spokój. Rubaszne żarty i dowcipy, które wczoraj jeszcze tak ich zachwycaly, dziś nie są w stanie ich rozweselić. Powietrze jest chłodne, a niebo pochmurne. Wtedy tylko wybucha śmiech w szeregach, kiedy wiwandyerka spadnie ze swego konika, albo kociołek blaszany stoczy się ze skały na dno przepaści.

Aby się rozerwać w nudnym marszu, porucznik Randmer, młody baron duński, zbliżył się do starego kapitała Lory, wysłużonego żołnierza. Kapitał szedł pośepny i milczący, krokiem ciężkim, ale pewnym; po-

rucznik, lekki i żywy, machał różeczką, którą ułamał z krzaków, rosnących przy drodze.

— Co ci jest, kapitanie? Dlaczego jesteś tak smutny?

— Widać, że mam powód do tego—odparł kapitał, nie podnosząc głowy.

— Do kogo, precz ze smutkiem! Spojrz na mnie. Nie jestem smutny, chociaż mam do złego humoru powody.

— Wątpię, baronie Randmer. Co do mnie, straciłem jedyne moje dobra, cały mój majątek.

— Kapitał Lory, widzę, że nasze szczęście zupełnie jest jednakie. Niewiele więcej jak dwa tygodnie temu, porucznik Alberik wygrał ode mnie jednym rzutem kości mój piękny zamek Randmer z przyległościami, co mnie wszakże nie doprowadziło do rozpacz.

Kapitał odparł pośepnie:

— Poruczniku, straciłeś tylko twój piękny zamek, a ja straciłem psa.

Na wesołej twarzy porucznika ukazał się wyraz spóćzucia.

— Kapitał, pociesz się; przecież ja, co straciłem mój zamek...

— I cóż to znaczy? — przerwał kapitał — A zresztą pan odegrasz swój zamek.

— A pan dostaniesz innego psa.

— Być może, ale nie odzyskam już mego biednego Drake.

Umilkł, a łzy spływały z jego oczu na twarz surową i ogorzłą.

— Nie kochałem nigdy — mówił dalej — nikogo



oprócz niego; nie znałem ojca ani matki; niechaj Bóg da im wieczny spoczynek.. Poruczniku Randmer, on mi ocalił życie w czasie wojny w Pomeranii. Nazwałem go Drake, aby tem zrobić honor sławnemu admirałowi. Poczciwy pies! Nie zmienił się dla mnie nigdy, jakiekolwiek było moje położenie. Po bitwie pod Oholfen, wielki generał Schack pogłaskał go mówiąc: — Pięknego masz psa, sierżancie Lory! — wówczas bowiem byłem tylko sierżantem.

— Ach! — przerwał młody baron, machając rózeczką — niezbyt to miło być sierżantem.

Weteran nie słyszał go; mówił jakby do siebie i tak niewyraźnie, że trudno było zrozumieć, co wypowiadał:

— Biedny Drake! tyle razy wracał z wyłomów i przekopów, aż wreszcie utonął, jak kot, w przeklętej zatoce Drontheimskiej. Mój biedny psie, biedny przyjacielu, byłeś przecie godzien, jak ja sam, zginąć na polu bitwy!

— Dzielny kapitanie — zawołał porucznik — nie przystoi nam się smuć, gdyż jutro może bić się będziemy.

— Tak — odparł pogardliwie kapitan — z tęgimi nieprzyjaciółmi!

— Jakto? Przecie z tymi rozbójniczymi górnikami i dyabelskimi góralami!

— Wyciosywacze kamieni i złodzieje na publicznych drogach! Ludzie, którzy w bitwie nie potrafią nawet sformować trójkątnego szyku Gustawa Adolfa! I oto mam walczyć z taką hołotą ja, com odbył wojny w Pomeranii i Holsztynie, kampanie w Skanii i Dale-

karlii, com walczył pod dowództwem sławnego generała Schacka i pod dzielnym hrabią Guldenlewem!...

— Ale pan nie wiesz — przerwał Randmer — że te bandy mają podobno straszego wodza, olbrzymą silnego i dzikiego, jak Goliat, rozbójnika, pijącego tylko ludzką krew, prawdziwego szatana...

— Kogóż to?

— Ależ słynnego Hana z Islandyi!

— Ba, założę się, że ten groźny generał nie umie nawet odwieźć na cztery tempa kurka u muszkietu, ani karabina nabić jak należy.

Randmer parsknął śmiechem.

— Tak, śmiej się poruczniku — mówił dalej kapitan. — Bardzo będzie przyjemnie skrzyżować nasze dzielne szable z ich nędznymi motykami, albo szlachetne lance z widłami od pieców! Prawdziwie godni nas nieprzyjaciele! Mój biedny Drake nie chciałby ich nawet kasać po nogach!...

Kapitan energicznie wynurzał swoje oburzenie, aż mu przerwało zjawienie się nowego oficera, który przybył cały zdyszany.

— Kapitanie Lory! kochany Randmer! — wołał ów oficer już zdaleka.

— Co? — zapytali obydwa.

— Moi przyjaciele... krew mi się ścina w żyłach... Ahlefeld, porucznik Ahlefeld, syn wielkiego kanclerza, znasz go przecie kochany baronie Randmer, ten Fryderyk... tak elegancki, tak zakochany w sobie...

— Tak — odpowiedział młody baron — bardzo elegancki! Jednak na ostatnim balu w Charlottenburgu



mój kostyum był szykowniejszy od jego... Ale cóż mu się stało?

— Wiem o kogo tu idzie — mruknął Lory. — O Fryderyka Ahlefeld, porucznika trzeciej kompanii, co ma niebieskie wyłogi. Dość on niedbale pełni swe obowiązki.

— Nikt się już na to nie będzie żalił, kapitanie Lory.

— Jakto? — spytał Randmer.

— Wszak on stoi garnizonem w Walhstrom? — zauważył stary kapitan.

— Właśnie. Otóż pułkownik odebrał teraz wiadomość... Biedny Fryderyk!

— Ale cóż mu się stało? Kapitanie Bollar, przestraszasz mnie...

— Ba! — gderał Lory — nasz elegancik nie stał się pewnie do apelu, jak zwykle i kapitan wsadził do aresztu syna wielkiego kanclerza. Jestem pewny, że to całe nieszczęście, pod wpływem którego kapitanowi Bollar aż twarz pobladła.

Bollar rzekł poważnie:

— Kapitanie Lory, porucznik Ahlefeld został pożarty żywem.

Kapitan zmarszczył czoło, Randmer zaś, przez chwilę zdziwiony, zaczął się śmiać serdecznie.

— Ach! kapitanie Bollar — zawołał — widzę, że się ciebie zawsze żarty trzymają. Ale tym razem nie dam się złapać, upewniam cię.

I porucznik, skrzyżowawszy ręce na piersiach, śmiał się wciąż, przysięgając, że go najbardziej bawiła

łatwowierność, z jaką Lory przyjął wymyśloną przez Bollara bajkę.

— Bajeczka ta — mówił — jest istotnie śmieszna. Fryderyk został pożarty na surowo, on, co swoją skórę otaczał staraniem, posuniętem aż do przesady.

— Randmer — rzekł poważnie Bollar — jesteś szaleńcem. Powtarzam raz jeszcze, że Ahlefeld nie żyje. Wiem to od pułkownika: nie żyje!

— Jak on doskonale gra swoją rolę! — przerwał baron śmiejąc się ciągle — jakież on zabawny!

Bollar wzruszył ramionami i zwrócił się do starego Lory, który z zimną krwią zapytał go o szczegóły.

— Tak, tak, kochany kapitanie Bollar — dodał śmieszek — opowiedz nam, przez kogo nieborak ten został zjedzony? Czy służył za śniadanie dla wilka, czy na wieczerzę dla niedźwiedzia?

— Pułkownik — rzekł Bollar — odebrał w drodze depeszę, w której zawiadamiają go naprzód o tem, że garnizon z Walhstrom cofa się ku nam przed znacznym oddziałem powstańców...

Stary Lory pokręcił głową.

— Następnie — mówił dalej Bollar — że porucznik Fryderyk Ahlefeld, udawszy się przed trzema tygodniami na polowanie w góry, w stronę Zwalisk Arbara, napotkał tam jakiegoś potwora, który go uniósł do swej jaskini i pożarł.

Tutaj porucznik Randmer podwoił oznaki wesołości.

— Och! och! że też ten zacny Lory wierzy w dziecinne bajki... Doskonale, zachowaj swoją powagę, kochany Bollar, jesteś niesłychanie zabawnym. Ale



czy nam nie powiesz, kto jest ten potwór, ludożerca, upiór, co porwał i pożarł porucznika, jak sześciodniowe kozłatko?

— Powiem to nie panu — rzekł Bollar zniecierpliwiony — ale kapitanowi Lory, który nie jest tak uporeczywie niedowierzającym. Kochany Lory, potworem, który wypił krew Fryderyka, jest Han z Islandyi.

— Dowódca rozbójników! — zawołał stary oficer.

— No i cóż, kapitanie Lory — zapytał szyderczo Randmer — czy potrzeba umieć robić bronią, kiedy się tak dzielnie włada szczękami?

— Baronie Randmer — rzekł Bollar — masz podobne usposobienie, jak Ahlefeld; strzeż się więc, żeby cię taki sam los nie spotkał.

— Doprawdy — zawołał porucznik — że najwięcej mnie bawi niewzruszona powaga kapitana Bollara.

— A mnie — odparł — Bollar niewyczerpana wesołość porucznika Randmera.

W tej chwili do rozmawiających zbliżyło się kilku oficerów.

— Do kroćset! — rzekł Randmer — muszę ich zabawić wymysłem Bollara. Koledzy — dodał zwracając się do przybyłych — czy wiecie, że nasz biedny Fryderyk Ahlefeld został pożarty żywcem przez barbarzyńskiego Hana z Islandyi?

Kończąc te słowa, znów wybuchnął śmiechem, który, na wielkie jego zdziwienie, oburzył przybyłych.

— Śmiejesz się, poruczniku? — zawołał jeden z nich.

— Nie sądziłem, żeby Randmer podobną nowinę mógł w ten sposób traktować.

— Śmiać się z takiego nieszczęścia! — dodał drugi.

— Jakto? — zapytał Randmer zmieszany — czyżby to było prawdą?

— Przecież sam to nam opowiadasz. Czy nie wierzysz w swoje własne słowa?

— Sądziłem, że to tylko żarcik Bollara.

— Żart taki byłby zupełnie niewłaściwym. Lecz nie jest to wcale żartem. Baron Voethaun, nasz pułkownik, otrzymał właśnie tę fatalną wiadomość.

— Straszliwe zdarzenie, okropna katastrofa! — powtarzano dokoła.

— Mamy więc walczyć z potworami o ludzkich twarzach.

— Będziemy wystawieni na strzały nie wiedząc, skąd one pochodzą; będą nas po jednemu zabijać, jak stare bażanty w kurniku!

— Śmierć Ahlefelda — rzekł Bollar uroczyście — dreszczem przejmuję. Nasz pułk jest prawdziwie nieszczęśliwy. Śmierć Dispolsena i tych biednych żołnierzy, których znaleziono w Cascadthymore, zgon Ahlefelda — oto tragiczne wypadki w tak krótkim czasie.

Baron Randmer, który umilkł wreszcie i spowaźniał, odezwał się z ubolewaniem:

— To nie do uwierzenia! Fryderyk, który tak dobrze tańczył!



## XVII

Gdyby on jednak był z nimi w porozumieniu? Gdyby to wszystko było tylko marną komedią? Gdyby nie był godnym wszystkiego tego, co ja dla niego chcę uczynić?

*Lessing.*

Po zachodzie słońca, widok pola nagiego, огоłoconego z roślinności, ma w sobie coś złowieszczonego, przejmującego smutkiem, zwłaszcza, gdy się jest samotnym, kiedy się stapa po zeschłej trawie, przy monotonnym ćwierkaniu koników polnych i kiedy się widzi bezkształtne chmury, przesuwające się zwolna po niebie, jak widziadła.

Takie właśnie wrażenie łączyło się ze smutnymi myślami Ordenera wieczorem po jego bezowocnym spotkaniu z rozbójnikiem z Islandyi. Zdziwiony przez chwilę jego nagłym zniknięciem, z początku chciał za nim pobiedz; zbłądził jednak w krzakach i siedł dzień cały po gruncie coraz mniej uprawnym, nie spotkawszy ani śladu człowieka. O zmroku znalazł się na rozległej płaszczyźnie, a wśród tej puszczy bezbrzeżnej oko nie spostrzegało nic takiego, co by mogło dać schronienie podróżnemu, wyczerpanemu trudami, głodem i pragnieniem.

Lecz mniejsza o trudy i niewygody; niczem one były wobec udręczeń moralnych Ordenera. Odnalazł

Hana z Islandyi, ale nie dopiął celu. I gdzie teraz będzie szukał rozbójnika? Co ma począć? Jak powrócić do Munckholmu z próżnemi rękoma, nie przynosząc przyrzeczonego ocalenia, które się mieściło w fatalnej szkatułce? A jego małżeństwo z Ulryką Ahlefeld? Gdyby mógł przynajmniej wyrwać swoją Ethel z więzienia, gdyby mógł uciec z nią i ponieść swoje szczęście na dalekie wygnanie?...

Owinał się płaszczem i położył na ziemi.

Niebo było czarne; niepewne światło zjawiało się niekiedy z po za chmur, jak przez żalobną zasłonę; zimny wiatr przebiegał pustkowiem. Ordener nie zwrócił uwagi na te oznaki gwałtownej i blizkiej burzy. A zresztą, choćby znalazł schronienie przed burzą, gdzieby zarazem mógł wypocząć po trudach, to czyby zdołał się tem uwolnić od dręczących go natrętnie myśli?

Nagle wśród groźnych poszumów wichru odróżnił głosy ludzkie. Zdziwiony podniósł się nawpół i oparł na łokciu, a po chwili spostrzegł w pewnej od siebie odległości jakby cienie, poruszające się w mroku. Niebawem w tem samem miejscu zabłysło światło i teraz Ordener zauważył, że owe tajemnicze widziadła jak gdyby zapadały się pod ziemię. Po chwili wszystko znikło.

Ordener wyższy był nad przesady swego czasu i swego kraju. Do jego umysłu, poważnego i dojrzałego, nie miała przystępu naiwna łatwowierność i te dziwne strachy, jakie niepokoją zarówno ludy, jak i ludzi w ich dziecięctwie. W szczególnem tem jednak zjawisku było coś tak nadnaturalnego, że zaczął przypuszczać to, o czem rozum kazał mu wątpić; nikt bowiem



nie może zaręczyć, czy duchy zmarłych nie wracają niekiedy na ziemię.

Podniósł się, przeżegnał i skierował ku miejscu, gdzie widziadła znikły. Deszcz zaczął padać kroplisty; płaszcz Ordenera wiatr wzdymał, jak żagiel i chwiało piórem kapelusza tak silnie, że uderzało ono młodzieńca po twarzy.

Nagle Ordener zatrzymał się. Przy świetle błyskawicy ujrzał pod swymi nogami coś nakształt studni szerokiej i prostopadłe w ziemię się zagłębiającej. Runąłby tam niechybnie, gdyby nie dobroczynne światło burzy. Zbliżył się do tej otchłani. Niepewne światelko błyszczało bardzo głęboko, rzucając czerwone zarysy na górną część tego olbrzymiego cylindra, wyrzeźbionego w skorupie ziemi. Promienie te, wydające się magicznym ogniem, zapalonym przez duchy, powiększały niejako niezmierną przestrzeń ciemności, przez którą oko przedrzeć się musiało, aby do nich dotrzeć.

Nieustraszonego młodzieńca, pochylonego nad przepaścią, słuchał. Szmer dalekich głosów dochodził aż do niego. Nie wątpił już, że istoty, które tak dziwnie się zjawiały i znikły z przed jego oczu, weszły do tej otchłani. Uczuł też niezwykłą chęć — bo snąc nadzwyczajne przygody były jego przeznaczeniem — pójść ich śladem, choćby to miało go zaprowadzić do bram piekieł. Zaczynała już zresztą szaleć burza, a w otchłani mógł się przed nią schronić. Ale jak tam zejść? Jaką drogą udali się ci, za którymi podążać pragnął, jeśli to tylko nie były widma? Powtórna błyskawica przyszła mu w pomoc, pozwalając dostrzedz koniec drabiny, wyzierający z głębokości. Była to długa

belka, przez którą w równych odstępach przechodziły żelazne szczeble, służące do opierania na nich rąk i nóg tych śmiałków, którzyby mieli odwagę zapuścić się w studnię.

Ordener nie zawahał się ani chwili. Uczepił się olbrzymiej drabiny i zagłębił w otchłani, nie wiedząc, czy aż do dna dojść zdoła i nie pomyślawszy, że już może nigdy nie ujrzy dziennego światła. Wkrótce, przez ciemności, rozpostarte nad swą głową, widział tylko niebo przy niebieskawych błyskawicach, które je często oświecały, a niebawem ulewny deszcz, który na ziemię padał wielkimi kroplami, do niego dochodził w postaci rozpylonej rosy. Prądy wichru, wpadając gwałtownie do studni, wydawały nad jego głową przeciągłe świsty. Schodził dalej i dalej, a zdawało się, że ani na krok nie zbliżył się do podziemnego światła. Szedł jednak nie tracąc odwagi i nie patrząc w głąb przepaści, coby go mogło przyprawić o zawrót głowy.

Wkrótce powietrze mniej gęste, głosy coraz wyraźniejsze i jaśniejsze blaski, oświecające ściany studni, dały mu poznać, że był już niedaleko od dna otchłani. Przeszedłszy jeszcze kilkanaście szczebli, spostrzegł wyraźnie koniec drabiny, a tuż przy nim podziemne wejście, oświecone przez czerwone i drżące blaski, ucho jego zaś uderzyły słowa i zwróciły całą uwagę.

— Kennybol nie przybywa — mówił ktoś z niecierpliwością.

— Co go mogło zatrzymać? — powtórzył ten sam głos po chwili milczenia.



— Nie wiemy, panie Hacket — odpowiedziano.

— Mieszka on u swej siostry, Maase Braall, we wsi Surb — dodał ktoś inny.

— Widzicie — mówił pierwszy głos — że ja do-  
trzymuję wszystkich moich obietnic... Przyrzekłem wam  
Hana z Islandyi na dowódcę i otóż go przyprowadzam.

Na te słowa odpowiedział szmer, którego znacze-  
nia trudno było odgadnąć. Ciekawość Ordenera, wzbu-  
dzona nazwiskiem Kennybola, który go tak zadziwił  
wczoraj, podwoiła się, gdy usłyszał straszliwe imię  
Hana z Islandyi.

Ten sam głos mówił dalej:

— Moi przyjaciele, Jonaszu i ty Norbith, mniej-  
sza o to, że się Kennybol opóźnia, jest nas i tak już  
za wielu, żebyśmy się czego obawiać mogli. A czyście  
znaleźli wasze sztandary w zwaliskach Krag?

— Tak jest, panie Hacket — odpowiedziało kilka  
głosów.

— A więc podnieście chorągiew, już czas! Oto  
złoto, a to wasz niezwyciężony dowódca. Odważnie  
idźcie uwolnić szlachetnego Schumackera, nieszczęśli-  
wego hrabiego Griffenfelda!

— Niech żyje Schumacker! — powtórzyło mnó-  
stwo głosów, a imię to rozlegało się echem we wszyst-  
kich załamaniach podziemnych sklepień.

Ordener słuchał zdumiony, z zapartym w pier-  
siach oddechem. Nie dowierzał uszom, nie mógł zro-  
zumieć tego, co słyszał. Schumacker w związku z Ken-  
nybolem i Hanem z Islandyi? Co to za tajemniczy dra-  
mat, którego on, niewidzialny świadek, ujrzał jedną tylko  
scenę? Kogo tu broniono? Na czyją działano szkodę?

— Słuchajcie — mówił ciągle ten sam głos —  
wiedzicie przed sobą przyjaciela i powiernika, szlache-  
tnego hrabiego Griffenfelda....

Głos ten był zupełnie obcym dla Ordenera. Mó-  
wił on dalej:

— Zaufajcie mi tak, jak on mi zaufał. Wszystko  
wam sprzyja, przyjaciele; przybędziecie do Drontheim,  
nie spotkawszy ani jednego wroga.

— Idźmy, panie Hacket — przerwał głos inny —  
ale Peters mówił mi, że widział cały pułk munckholm-  
ski idący na nas.

— Zwiódł cię — odpowiedział pierwszy głos sta-  
nowczo. — Rząd nie wie jeszcze o waszem powstaniu,  
a jego pewność tak jest wielką, że ten, co odrzucał  
wszystkie wasze słuszne skargi, wasz gnębiel i gnę-  
biel sławnego i szlachetnego Schumackera, jednym sło-  
wem generał Lewin Knud, opuścił Drontheim i udał  
się do stolicy, aby tam uczestniczyć w godach ślubnych  
swego wychowawcy, Ordenera Guldenlewa z Ulryką  
Ahlefeld.

Łatwo zrozumieć niepokój Ordenera. W tej oko-  
licy pustej i dzikiej, w tem tajemniczym podziemiu,  
słyszał nieznanym, wymieniających wszystkie nazwi-  
ska, jakie go obchodzić mogły, a nawet jego własne!  
Straszliwe zwątpienie wstąpiło w jego serce. Czyby  
to było prawdą? Czy on rzeczywiście słyszał głos  
agenta hrabiego Griffenfelda? Jako, Schumacker, ten  
starzec szanowny, czeigodny ojciec jego szlachetnej  
Etheli, miałby buntować się przeciw swemu królowi,  
najmować rozbójników, zapalać wojnę domową? I dla  
tego hypokryty, buntownika, on, syn wice-króla Nor-



wegii, wychowaniec generała Lewina, narażał swoją przyszłość i życie? dla niego to walczył z rozbójnikiem islandzkim, z którym Schumacker musi być w porozumieniu, skoro go postawił na czele tych buntowników? A może nawet ta szkatułka, dla której on, Ordener, chciał poświęcić krew swoją, zawierała tylko jakie niegodne tajemnice tego ohydneho spisku? Czyby mściwy więzień munckholmski zażartował sobie z niego? Może on odgadł jego imię i co byłoby najboleśniej — dla wspaiałomyślnego młodzieńca, może popełnił go do tej fatalnej wyprawy, jedynie pragnąc zguby syna swojego wroga?...

Jeśli imię nieszczęśliwego otaczamy szacunkiem i miłością; jeśli w tajnikach swoich myśli przyrzeczemy dla jego nieszczęścia niewzruszone przywiązanie — jakże gorzką jest chwila, w której odbieramy w nagrodę niewdzięczność, kiedy czujemy, że nas pozbawiono uroku szlachetności i poznajemy, że musimy się wyrzec szczęścia tak czystego i słodkiego, jakie nam niesie poświęcenie. Wówczas nagle starzejemy się najsmutniejszą ze starości, bo starością doświadczenia, a tracimy najpiękniejsze złudzenia życia, w którym niema nic pięknego, prócz złudzeń.

Takie to bolesne myśli tłoczyły się w nieładzie do duszy Ordenera. Szlachetny młodzieniec chciałby umrzeć w tej fatalnej chwili; zdawało mu się, że całe szczęście jego życia uleciało. Wprawdzie niektóre słowa tego, który przemawiał jako posłaniec hrabiego Griffenfelda, wydawały mu się kłamliwe lub wątpliwe; ale ponieważ miały na celu uwiedzenie pocziwych wieśniaków, tembardziej przeto Schumacker był występny

w jego oczach. A ten sam Schumacker był ojcem jego Etheli!...

Myśli te tem boleśniej wstrząsały jego sercem, gdyż jednocześnie je zajęły. Chwiał się stojąc na szczeblach drabiny, a jednak słuchał dalej; często bowiem z niewytłumaczoną niecierpliwością i chciwością przysłuchujemy się słowom, głoszącym nam o nieszczęściu, którego się najbardziej obawiamy.

— Tak jest — mówił dalej głos wysłańca z Munckholmu — zostajecie pod dowództwem groźnego Hana z Islandyi. Któż z wami walczyć się ośmieli? Sprawa wasza jest sprawą waszych żon i dzieci, niegodnie obdzieranych z dziedzictwa; jest sprawą nieszczęśliwego, od dwudziestu lat jęczącego niesłusznie w hańbiącym więzieniu. Dalej, Schumacker i wolność czekają na was! Śmierć waszym prześladowcom!

— Śmierć! — powtórzyło tysiąc głosów, a jednocześnie w podziemiu dał się słyszeć szczeł broni, z którym połączyły się chrapliwe brzmienia rogów w górach.

— Wstrzymajcie się! — zawołał Ordener, schodząc spiesźnie z drabiny.

Myśl powstrzymania Schumackera od spełnienia zbrodni i uchronienia kraju od strasznej klęski, owładnęła nagle całą jego istotą. Ale kiedy stanął u wejścia do podziemia, obawa zgubienia zbyt porywczym krokiem ojca Etheli, a może i jej samej, zastąpiła w jego sercu wszelkie inne uczucie, stał więc błądliwy, spoglądając ze zdziwieniem na niezwykle widok, jaki się jego oczom przedstawił.

Znalazł się jakby na wielkim placu podziemnego



miasta, którego obszaru nie pozwalały mu objąć okiem liczne słupy, podtrzymujące sklepienie. Słupy te, od światła tysiąca pochodni, trzymany przez tłum ludzi dziwnie uzbrojonych i rozrzuconych w nieładzie po placu, błyszczały jak kryształowe kolumny. Patrząc na te blaski jaskrawe, na te groźne postacie, można było sądzić, że się jest świadkiem jednego z tych bajecznych zebrań, podczas których czarownicy i szatani, niosąc gwiazdy zamiast pochodni, nocą oświecają prastare lasy i ruiny zamków.

Rozległ się okrzyk:

— Nieznajomy! Śmierć mu! Śmierć.

Sto rąk podniosło się na Ordenera. On zaś się sięgnął do boku, szukając tam szabli... Zaczny młodzieniec w szlachetnym zapale zapomniał, że był sam jeden i bezbronny.

— Wstrzymajcie się! — zawołał głos tego, którego Ordener uważał za posłańca Schumackera.

Był to człowiek niski, otyły, czarno ubrany, z wejrzeniem wesołym, ale fałszywym.

— Kto jesteś? — zapytał młodzieńca.

Ordener nie odpowiedział. Otoczony był ze wszystkich stron, a na jego piersi nie było ani jednego miejsca, którego nie dotykałoby ostrze szpady albo lufa pistoletu.

— Czy się boisz? — zapytał otyły jegomość ze złośliwym uśmiechem.

— Gdyby, zamiast tych oreży, dotykała mojego serca twoja ręka — rzekł młodzieniec spokojnie — przekonałbyś się, że bije nieprędzej od twego, jeśli ty tylko masz serce.

— Ho! ho! — rzekł tłusciuch — jaki hardy! Niech więc umiera!

I odwrócił się tyłem.

— Zadajcie mi śmierć — odparł Ordener — będę wam za to wdzięczny.

— Chwilkę, panie Hacket — rzekł oparty na długim muszkiecie starzec z gęstą brodą. — Jesteście tutaj u mnie i ja tylko sam mam prawo wyprowadzić tego chrześcijanina do umarłych, aby im opowiedział, co widział tutaj.

Pan Hacket zaczął się śmiać.

— Na uczciwość — rzekł — rób jak ci się podoba, kochany Jonaszu. Niewiele mi na tem zależy, przez kogo ten szpieg będzie sądzony, byleby tylko został skazany.

Starzec zwrócił się do Ordenera z pytaniem:

— No, dalej, powiedz nam, kto jesteś ty, co z taką śmiałością chciałeś się dowiedzieć, kto my jesteśmy?

Ordener milczał. Otoczony stronikami Schumackera, dla którego najchętniej byłby oddał całą krew swoją, nie uczuwał w tej chwili nic, prócz pragnienia śmierci.

— Jego łaskawość nie chce odpowiadać — rzekł starzec. — Lis, kiedy go schwycą, już nie skomli. Zabijcie go.

— Mój dzielny Jonaszu — odezwał się Hacket — pozwól, żeby śmierć tego człowieka była pierwszym czynem Hana z Islandyi pomiędzy wami.

— Zgoda! zgoda! — zawołało mnóstwo głosów.

Ordener zdziwiony, ale zawsze nieustraszony,



szukał oczami owego Hana z Islandyi, z którym tego samego rana tak długo walczył i ujrzał, z większem jeszcze zdziwieniem, zbliżającego się człowieka kolosalnej postawy w góralskim ubiorze. Olbrzym ten utkwiał w Ordenerze spojrzenie bezmyślne a okrutne i zażądał siekiery.

— Ty nie jesteś Hanem z Islandyi! — odezwał się Ordener z mocą.

— Śmierć mu! Śmierć! — wołał Hacket wściekłym głosem.

Ordener widział, że trzeba było umrzeć. Sięgnął ręką do piersi, aby wydobyć włosy Etheli i złożyć na nich ostatni pocałunek. Ruchem tym wyrzucił papier, tkwiący za jego pasem.

— Co to za papier? — zapytał Hacket. — Norbith, podnieś go.

Norbith był to człowiek młody, którego twarz ogorzała i surowa miała wyraz szlachetny.

Podniósł on papier i rozwinął go.

— Wielki Boże! — zawołał — to karta mego biednego przyjaciela Krzystofa Nedlama, nieszczęśliwego kolegi, którego stracili przed tygodniem na rynku w Skongen za fałszerstwo monety.

— A więc — rzekł Hacket tonem zawiedzionego oczekiwania — zachowaj sobie ten papier. Myślałem, że to coś ważniejszego. No, a ty, kochany Hanie z Islandyi, załatw się z tym człowiekiem.

Młody Norbith stanął przed Ordenerem i zawołał:

— Ten człowiek jest pod moją opieką! Wpierw mnie zabijecie, zanim spadnie jeden włos z jego głowy.

Nie pozwolę, aby karta bezpieczeństwa mego przyjaciela, Krzystofa Nedlama, miała być zgwałcona.

Ordener, tak cudownym sposobem wzięty w opiekę, spuścił głowę i upokorzył się w duchu, przypomniał sobie bowiem z jaką obojętnością przyjął wzruszające życzenia kapelana Anastazego Munder:

„Podarunek umierającego niechaj będzie błogosławieństwem dla podróżnika“.

— Ba! ba! — rzekł Hacket — pleciesz głupstwa, mój dzielny Norbith. Człowiek ten jest szpiegiem, musi więc zginąć.

— Dajcie mi siekiere — powtórzył olbrzym.

— Nie zginie! — wołał Norbith. — Coby na to powiedział duch mego biednego Nedlama, którego tak niegodnie powiesili? Ja za to odpowiadam, że nie zginie, ponieważ Nedlam nie chce, aby zginął.

— W samej rzeczy — rzekł stary Jonasz — Norbith ma słuszość. Jakże chcecie panie Hacket, żeby zabić tego nieznajomego, kiedy on ma kartę Krzystofa Nedlama?

— Ale skoro jest szpiegiem? — odparł Hacket.

Starzec stanął obok młodego górnika przed Ordenerem i obaj powtórzyli z powagą:

— Ten nieznajomy ma kartę Krzystofa Nedlama, którego powieszono w Skongen.

Hacket przekonał się, że trzeba było ustąpić, inni bowiem również zaczęli szemrać mówiąc, że nieznajomy nie powinien zginąć, skoro ma kartę bezpieczeństwa fałszerza Nedlama.

— No — rzekł wreszcie przez zęby i tłumiąc swoją wściekłość — niechaj sobie żyje. Zresztą, to was tylko obchodzi.



— Nie pozwoliłbym go skrzywdzić, choćby to był sam dyabeł — rzekł Norbith z tryumfem.

Powiedziawszy to, zwrócił się do Ordenera.

— Słuchaj — ciągnął dalej — musisz być prawdziwym naszym bratem, skoro masz kartę Nedlama, mego biednego przyjaciela. Jesteśmy górnikami królewskimi. Powstajemy, ażeby się uwolnić z pod złej opieki. Pan Hacket, którego tu widzisz, twierdzi, że chwyciliśmy za broń dla jakiegoś hrabiego Schumackera, ja jednak nie znam go wcale. Nasza sprawa jest słuszną. Odpowiedz tedy, ale tak, jak gdybyś odpowiadał twemu świętemu patronowi: czy chcesz przystać do nas.

Szczególna myśl powstała w głowie Ordenera.

— Zgoda! — odpowiedział.

Wtedy Norbith podał mu szablę, którą on przyjął w mileczeniu.

— Bracie — rzekł do niego młody góral — jeśli chcesz nas zdradzić, to wpierw mnie zabić musisz.

W tej chwili pod sklepieniem kopalni rozległ się głos rogu, który musiano znać dobrze, gdyż zaraz poczęto wołać:

— Otóż i Kennybol!

## XVIII

Czasem rodzą się w głowie myśli,  
które wznoszą się aż pod niebiosy.

„Romans hiszpański“.

Na duszę spływa niekiedy niespodzianie natchnienie, szybkie i jasne przecucie, którego treści cały szereg myśli i rozważań nie potrafiłby lepiej wyrazić ani uzasadnić, jak światło tysiąca pochodni nie odtworzy niezmiernej i szybkiej jasności błyskawicy.

Nie będziemy tutaj rozważali niezwykłego i tajemniczego popędu, który na propozycję młodego Norbitha rzucił szlachetnego syna wice-króla Norwegii w grono rokoszan, powstających w sprawie więźnia stanu. Była to, zapewne, wspaniałomyślna chęć zbawienia za jakąkolwiek cenę tej ciemnej sprawy, połączona z gorzkim wstrętem do życia, a zarazem rozpaczliwe zwątpienie o przyszłości; może też grało tu rolę przekonanie o niewinności Schumackera, które wzbudziło w nim to wszystko, co miało pozór podejrzanym i fałszywym; wreszcie może działało tu tajemne objawienie, przecucie prawdy i sprawiedliwości, a nadewszystko miłość dla Etheli.



## XIX

Czy to wódz? Jego spojrzenia przestraszały mnie, nie śmiałybym do niego mówić.

*Maturin* „Bertram,”

Usłyszawszy krzyki, zwiastujące przebycie sławnego strzelca Kennybola, Hacket pospieszył na jego spotkanie, pozostawiając Ordenera z dwoma wodzami powstańców.

— Nakoniec przybywasz, kochany Kennybolu! — mówił Hacket do przybyłego. — Chodź więc ze mną, niech cię przedstawię waszemu straszemu wodzowi, Hanowi z Islandyi.

Na to imię, Kennybol, który przybył blady, z najeżonym włosiem, twarzą zlaną potem, i rękami we krwi zbaczonymi, cofnął się trzy kroki.

— Hanowi z Islandyi! — powtórzył.

— No, no — rzekł Hacket — uspokój się! Przecież on przyszedł tutaj, aby wam pomagać. Powinieneś w nim widzieć przyjaciela, towarzysza...

Kennybol nie słuchał go.

— Han z Islandyi tutaj? — zapytał.

— Ależ tak — odparł Hacket, powstrzymując śmiech dwuznaczny — pohamuj tylko strach, który jego imię...

— Jak to! — przerwał strzelec po raz trzeci — pan mówisz, że Han z Islandyi jest w tej kopalni...

Hacket zwrócił się do otaczających go górników z pytaniem:

— Czyżby nasz dzielny Kennybol oszalał?

Potem przemówił do Kennybola:

— Jak widzę, to tylko obawa Hana z Islandyi opóźniła twoje tutaj przybycie.

Kennybol podniósł rękę do góry.

— Na Świętą Ethelredę, męczenniczkę norweską — rzekł — nie obawa Hana z Islandyi, panie Hacket, ale sam Han, przysięgam, przeszkodził mi przyjść tutaj wcześniej.

Słowa te wywołały szmer zadziwienia między tłumem górali i górników, na czoło zaś Hacketa sprowadziły tę samą chmurę, jaką widok i ocalenie Ordenera pokryło je przed chwilą.

— Jakto! Co ty mówisz? — zapytał, głos zniżając.

— Mówię, panie Hacket, że gdyby nie wasz przeklęty Han Islandczyk, byłbym tu jeszcze przed pierwszym krzykiem puszczyka.

— Czy doprawdy? Ale cóż on ci uczynił?

— Och! nie pytaj mnie pan o to. Powiem tylko, że niech moja głowa w jeden dzień stanie się białą, jak sierć gronostaja, jeśli się dam namówić jeszcze raz w życiu na polowanie na białego niedźwiedzia.

— Zapewne niedźwiedź omal cię nie pożarł?

Kennybol wzruszył ramionami wzgardliwie.

— Niedźwiedź! — rzekł — A to mi groźny nieprzyjaciel! Kennybol pożarty przez niedźwiedzia! Za kogoż to mnie bierzecie, panie Hacket?

— Nie gniewaj się. Chciałem tylko wiedzieć...

— Gdybyście wiedzieli, mój zacny panie, co mi się zdarzyło — przerwał stary strzelec zniżając głos — wtedy nie powtarzalibyście mi, że Han z Islandyi jest tutaj.

Hacket znów się zmieszał. Ujął nagle Kennybola za ramię, jak gdyby obawiając się, żeby strzelec nie zbliżył się do miejsca, skąd, po nad tłumem górników, wystawała ogromna głowa olbrzyma.

Han z Islandyi. Tom II.



— Kochany Kennybolu — rzekł poważnie — opowiedz, proszę cię, co jest powodem twego opóźnienia? Pojmujesz przecie, że obecnie każda drobnostka może mieć wielkie znaczenie.

— To prawda — odparł Kennybol po chwili zastanowienia.

I ulegając naciskowi Hacketa, opowiedział swoją przygodę. Oto wczesnym ranem, wraz z sześciu towarzyszami, osaczył białego niedźwiedzia w okolicach groty Walderhoga, nie spostrzegłszy nawet w zapale polowania, że był tak blisko tego strasznego miejsca. Żałosne ryki zagrożonego niebezpiecznie niedźwiedzia sprowadziły małego człowieka, potwora, szatana, który, uzbrojony w kamienną siekierę, rzucił się na strzelców, broniąc niedźwiedzia. Zjawienie się tej dyabelskiej istoty, którą nie mógł być kto inny prócz Hana, szatana islandzkiego, przeraziło wszystkich strzelców. Rozpoczęła się walka. Ostatecznie sześciu strzelców padło ofiarą potworów, Kennybol zaś zawdzięcza swoje ocalenie jedynie szybkiej ucieczce, która mu się udała, dzięki jego zwinności, zmęczeniu Hana, a nadewszystko dzięki opiece patrona myśliwych, Świętego Sylwestra.

— Widzicie, panie Hacket — kończył opowiadanie Kennybol — widzicie, że jeśli późno przychodzę, to nie mnie trzeba o to obwinać, a także, iż jest niepodobieństwem, aby szatan z Islandyi, który został ze swoim niedźwiedziem w krzakach Walderhoga i pastwił się nad trupami moich biednych towarzyszy, mógł być obecnie, i to jako przyjaciel, w kopalni Apsyl-Corh, miejscu naszego zebrania. Znam go teraz, tego szatana wcielonego; widziałem go przecież na własne oczy i to z bliska.

Hacket, który słuchał z uwagą opowieści, przemówił z kolei poważnie:

— Mój dzielny Kennybolu, kiedy mówisz o Hanie z Islandyi, albo o piekle, nie wspominaj o niepodobieństwach. Wiedziałem już o wszystkim, coś mi teraz powiedział...

Nadzwyczajne zdziwienie i naiwna łatwowierność odbiły się w surowych rysach starego strzelca z gór Kole.

— Jakto? — zapytał.

— Tak jest — ciągnął dalej Hacket, na którego twarzy baczniejszy spostrzegacz dojrzałby wyraz tryumfu i ironii — wiedziałem o wszystkim, z wyjątkiem jednak, że to ty byłeś bohaterem tego smutnego zdarzenia. Han z Islandyi opowiedział mi to, kiedyśmy szli tutaj.

— Czy być może! — rzekł Kennybol, a jego spojrzenie, zwrócone na Hacketa, wyrażało zabobonną obawę i szacunek.

Hacket z tą samą zimną krwią podjął:

— Niewątpliwie. A teraz zaprowadzę cię do tego strasznego Hana.

Kennybol krzyknął z przestachu.

— Ależ bądź spokojny — uśmiechnął się Hacket. — Powinieneś w nim widzieć jedynie waszego wodza i towarzysza. Strzeż się tylko wspominać mu o tem, co zaszło dziś rano. Rozumiesz mnie?

Potrzeba było uledeć. Nie bez silnego wstrętu jednak Kennybol zgodził się na to, aby go przedstawiono szatanowi. Postapili więc ku grupie, w której stali Ordener, Jonasz i Norbith.

— Mój dobry Jonaszu, kochany Norbith — witał ich Kennybol — niechaj Bóg was wspiera!

— Bardzo tego potrzebujemy, Kennybolu — rzekł Jonasz.



W tej chwili spojrzenie Kennybola zatrzymało się na Ordenerze, który również mu się przypatrywał.

— Ach! to pan — rzekł strzelec zbliżając się spiesznie do niego i podając mu swą dłoń pomarszczoną i twardą — witajże nam. Jak widzę, pańska śmiałość dobry odniosła skutek.

Ordener, nie rozumiejąc tego, co góral zdawał się tak dobrze pojmować, chciał go prosić o wytłumaczenie, kiedy nagle Norbith zawołał:

— To wy znacie tego młodzieńca, Kennybolu?

— Na mojego anioła stróża, czy go znam! Ja go kocham i szanuję. On tak jest przychylny, jak i my wszyscy, sprawie, której służymy.

I znów spojrzał z porozumieniem na Ordenera, który właśnie zamierzał mu zadać pytanie, gdy Hacket, wracając ze swoim olbrzymem, od którego wszyscy usuwali się z przestrachem, zbliżył się do nich, mówiąc:

— Dzielny Kennybolu, oto wasz wódz, sławny Han z Klipstadur!

Kennybol, rzuciwszy wzrokiem na rzekomego rozbójnika, cofnął się zdumiony, a potem nachyliwszy się do ucha Hacketa, szepnął:

— Panie Hacket, Han z Islandyi, którego dziś rano zostawiłem w Walderhogu, był małego wzrostu...

Hacket odpowiedział mu również cicho:

— Zapominasz, że to przecie szatan, Kennybolu.

— Prawda — mruknął łatwowierny strzelec — widać inną teraz przybrał postać...

To powiedziawszy, odwrócił się i przeżegnał kilkakrotnie.



KONIEC TOMU DRUGIEGO.

743535/2



173535/2

ROK XXXV ISTNIENIA.

NAJTAŃSZA I NAJOBFITSZA ILUSTRACJA POLSKA

# „BIESIADA LITERACKA“

PREMIUM NADZWYCZAJNE:

≡ **12 dużych tomów** ≡  
**wyborowych powieści i romansów**

NAJZNAKOMITSZYCH AUTORÓW POLSKICH I OBCYCH

REDAKTR I WYDAWCA

**Michał Synoradzki.**

„Biesiada Literacka“ obejmuje wszystkie rodzaje literatury pięknej z powieścią na czele, historię, pamiątniki, podróże, wiedzę gruntowną w formie popularnej, wychowanie, politykę, chwilę bieżącą wszechświatową—słowem wszystko, co stanowi potrzebę umysłu inteligentnego. **Szczególniej uwzględnia dzieje ojczyste i pamiątki narodowe.**

WARUNKI PRENUMERATY:

| w Warszawie:   |              | na prowincyi:             |        |
|----------------|--------------|---------------------------|--------|
| Rocznie . . .  | rb. 6        | Rocznie . . . . .         | rb. 8. |
| Półrocznie . . | „ 3          | Półrocznie . . . . .      | „ 4.   |
| Kwartalnie . . | „ 1 kop. 50. | Kwartalnie . . . . .      | „ 2.   |
|                |              | Zagranicą rocznie rb. 10. |        |

**Wytworna oprawa powieści, z wyciskami złożonemi na tle barwnem: 3 tomów kop. 50; 6 tomów rs. 1; 12 tomów rs. 2.**

*Na żądanie administracya wysyła numer okazowy bezpłatnie.*

Adres redakcyi i administracyi: **Warszawa, plac Warecki 4.**

Nr telefonu 78-26.